

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 14-go lipca 1945r.

Rok VII. Nr. 28

PRZYSZŁOŚĆ EUROPY

„Demokracja była kiedyś rewolucją. Dzisiaj jest ona największą siłą konserwatywną na ziemi, konserwatywną w najlepszym znaczeniu tego słowa, w znaczeniu obrony i zachowania bezwzględnie zagrożonych moralnych zasad Zachodu. Aby do tego zadania dorosnąć, demokracja musi w pewnym stopniu powrócić do swego okresu rewolucyjnego. Nie może ona tylko istnieć, musi walczyć, gdyż bez walki przestanie istnieć.”
„Liberalizm i wolność są identyczne, razem żyją i razem giną.”

/Thomas Mann/

KTO ODNIÓSŁ ZWYCIĘSTWO PRZEZ „UMOWĘ MOSKIEWSKĄ”?

Trudno jest wątpić, iż opinia świata uzna t.zw. „Umowę Moskiewską” i jej następstwo — „Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej” za zamknięcie i rozwiązanie sprawy polskiej. Nie można jednak wątpić jednocześnie, iż opinia świata nie uzna go jako rozwiązania sprawiedliwego, osiągniętego w wyniku kompromisu między wszystkimi zainteresowanymi. „Umowa Moskiewska” jest w sposób jawny i oczywisty nie tylko zwycięstwem rosyjskiego punktu widzenia, lecz i rosyjskim rozwiązaniem problemu polskiego, t.zn. takim, które służy interesom jednego tylko państwa — Rosji Sowieckiej, pomijając prawa i interesy państw innych, nie wyłączając i Polski.

„Umowa Moskiewska” jest zwycięstwem rosyjskim nie tylko na ograniczonym skrawku Europy Wschodniej — terytorium Państwa Polskiego, lecz i na całej przestrzeni Europy Południowo-Wschodniej, a być może dalej jeszcze na zachód, aż do linii dzielącej okupację rosyjską i anglosaską. Pamiętając zaś, że linia demarkacyjna w Niemczech jest linią sztuczną, która nie rozdzieli raz na zawsze narodu niemieckiego na dwa różne obozy służące dwóm różnym orientacjom, zwycięstwo rosyjskie w sprawie polskiej może w swych skutkach przekroczyć linię demarkacyjną, popychając całe Niemcy w kierunku orientacji wschodniej. Ta orientacja ma historyczne uzasadnienie w przeszłości i oparcie w procesach społecznych nurtujących Niemcy od lat wielu.

„Umowa Moskiewska” posiadać będzie wpływ na przebieg wydarzeń nie tylko na terytorium Europy właściwej. Daleki Wschód ma w rządzie w Jenan swój Komitet Lubelski /porównanie to nie jest polską fantazją, lecz stanowi niemal dosłowną cytate publicystyki angielskiej/. Bliski Wschód posiada co najmniej jedną własną wersję linii Curzona i kilka odpowiedników „Związku Patriotów Polskich”, który okazał się technicznie i politycznie skuteczniejszy od rządu Kusinena.

UKRYTE ZNACZENIE TEJ UMOWY

Nie będzie przesadą stwierdzić, że rosyjskie rozwiązanie sprawy polskiej ma wartość symboliczną. Niemcy na przykładzie Polski pragnęli wykazać całemu światu, iż bezużyteczny i daremny jest opór wojskowy przeciw agresji niemieckiej, że bezwzględnie tępony będzie sprzeciw wobec systemu niewolnictwa i wyżysku gospodarczego, następujących po militarnym zwycięstwie. Podobnie Rosja na przykładzie Polski udowodniła chciła 120 milionom zamieszkującym Europę Środkową i wielu milionom innych narodów śledzących przebieg wydarzeń w sprawie polskiej, iż wierność Sprzymierzeńcom Zachodnim i zachodniej

orientacji państwa położonego w orbicie rosyjskiej nie będzie tolerowana i w razie potrzeby zostanie zgnieciona.

W tym celu z jednej strony tępi się środkami doraźnymi i ostatecznymi wszystkich wyznawców orientacji zachodniej, z drugiej pokazuje praktycznie i konkretnie, iż Państwa Zachodnie nie posiadają możliwości działania w sferze, którą Rosja uważa za swoją własność. Dokłada się wszelkich starań, by skompromitować Sprzymierzeńców Zachodnich w Europie Środkowej, stwarzając takie warunki, iż gwarancje i zobowiązania zaciągnięte przez Anglosasów nie mogą być spełnione. Anglosasi postawieni są w położeniu nieuczciwego partnera, łamiącego dane słowo, ciągnącego korzyści z zawartych umów, by nie dać nic wzamian.

Jest rzeczą jasną, iż celem Rosji nie jest jedynie sukces dyplomatyczny. Skutki kompromitacji Sprzymierzeńców Zachodnich mają przynieść zyski trwałe, a nie tylko doraźne. Dla 120 milionów w Europie Środkowej sprawa polska i sposób jego rozwiązania ma być szkołą, w której dokona się przedstawienia z orientacji zachodniej na orientację wschodnią. Ani Washington, ani Londyn, ani Paryż, nie mają być dla nich ośrodkiem kierującym życiem politycznym i kulturalnym narodów od stolic tych geograficznie odległych. Miejsce Washingtonu, Londynu, Paryża — zająć ma Moskwa, wzory zachodnie mają być zastąpione wzorami Kremla, poczucie wspólnoty europejskiej — poczuciem wspólnoty sowieckiej, oficjalnie występującej pod nazwą wszechświatowskiej. Hasło tej wojny: „Poland is a test case” /Polska jest probierzem/, nabiera w tym naświetleniu nowego i nieoczekiwanego znaczenia.

ROZBITA I WYRODNIJĄCA EUROPA

W tej chwili nie bez wahania mówić możemy o Europie jako jednostce politycznej i kulturalnej. Z Europy pozostała jedynie Europa Zachodnia. Lecz i jej jedność jest zagrożona od wewnątrz. Szkoła orientacji wschodniej dla tej części Europy, która znajduje się w sferze rosyjskiej, jest dla Europy Zachodniej szkołą cynizmu, przekonania, że panowanie prawa w życiu między narodami to głupie i dziecinne urojenie. Dokonuje się proces rozbijania Europy Zachodniej, proces podobny do wydarzeń, które poprzedziły wybuch tej wojny z wszystkimi zgubnymi jego następstwami — samolubstwem poszczególnych

państw i obojętnością dla spraw cudzych, jak i metod stosowanych w stosunkach między narodami, jeśli nie jest się jedną ze stron zainteresowanych.

Spojrzenie na sytuację z ogólniejszego jeszcze punktu widzenia nie prowadzi do bardziej pogodnych spostrzeżeń. Na pobojuwisku wojennym pozostały niezliczone ruiny domów, gromady ludzkie wycieńczone głodem, złamane terrorem i prześladowaniami, zdemoralizowane systemem, w którym żyć musiały, pozbawione szkół, nauki, sztuki i tych wszystkich form życia społecznego, które trzymają w karchach i dają poczucie wspólnoty. Wojna rozpoczęła w imię wolności człowieka i narodów, zakończyła się niewolą narodów niepodległych w okresie przedwojennym. Pojęcie wartości i godności człowieka przestało być znane na wielkich przestrzeniach Europy, liberalizm jest słowem nieprzyzwoitym, wolność i demokracja oznacza wszystko prócz swego właściwego znaczenia, tolerancja obowiązuje tylko w stosunku do wyznawcy tych samych poglądów. Gromadzą się mroki, które budzą obawy ostatecznego zmierzchu świata, w którym żyliśmy, do którego chcieliśmy wrócić, by go rozwijać i doskonalić. Atmosfera cynizmu i rozpacz zatrała serca i umysły wielu.

Ten stan duchowego rozbicia i zamętu pojęć witany jest przez innych jako brzask nowego świata. Zasugerowani fizyczną potęgą widzą w niej jedynego gwaranta nowej jedności. Siła fizyczna i bogactwo zjednywa zawsze podziw i balwochwastwo.

JESZCZE WCZORAJ BYŁO — INACZEJ

To spojrzenie na Europę jest niespodziane. Do niedawna Europa była czymś zupełnie innym. Wojna co dopiero zakończona była nie tylko starciem militarnym. W rzeczywistości sześciolatni niemal okres wojny tylko w drobnej części wypełniony był działaniami wojennymi. Historia tej wojny jest w ogromnej mierze historią życia i walki niezliczonych milionów broniących każdego dnia nie fortce i umocnień, lecz swego przywiązania do pewnych form istnienia człowieka i społeczeństwa, praw jednostki do własnego szczęścia i pełnego rozwoju, nieskrepowanego i wszechstronnego, jego wiary w prawdę uczuć takich, jak litość, współczucie, solidarność, jego przekonania o cenie wolności, prawdy, uczciwości, sprawiedliwości. Ponieważ walka ta toczyła się na przestrzeni całej Europy była to walka jednego za wszystkich

i wszystkich za jednego. Wojnę zaborczą jednego narodu miliony, przeciw którym była ona zwrócona, zamienili w wojnę o zjednoczenie. Ujawniła ona dwie prawdy.

Po pierwsze, przywiązanie do pogardzanych przez napastnika wartości, wartości rzekomo przebrzmiałych i nieważnych, okazało się silniejsze od fanatyzmu „nowoczesnych” idei totalitarnych.

Po wtóre, wbrew rozpowszechnionemu przed wojną pogładowi, iż człowiek bezbronny jest także bezsilny wobec nowoczesnej militarnie zorganizowanej siły, ruchy podziemne wykazały, jak nieskuteczne są w ostateczności rządy oparte na sile militarnej, gwałcącej środkami terroru jego pragnienia i dążenia. Okazało się, wprawdzie za olbrzymią cenę szczęścia i życia ludzkiego, że mechaniczne metody tresury mogą sprowadzić pewną demoralizację i pozory uległości, nie dotykając jednak rzeczywistego źródła, w którym rodzi się i żyje lojalność. Rządy gwałcącej prawa i pragnienia rządzonej zapewnijają jedynie czasowy i przelotny sukces.

POPRIEDNIE IDEE EUROPY ZJEDNOCZONEJ

W podziemiach Europy w latach 1939 — 45 powstawała idea Europy Zjednoczonej, idea pod zasadniczymi względami odmienna od swych poprzedniczek. Znamy z przeszłości jej wersję brytyjską, znaną jako doktryna europejskiej równowagi sił. Nie jest rzeczą łatwą określić ją poprawnie i ogólnie, ponieważ polega ona na kształtowaniu konkretnym, zmiennym, dostosowywującym się w każdym wypadku do istniejącej sytuacji, stosunków między państwami, jako potencjalnymi siłami. Trójpriemierze i Trójpriorozumienie są charakterystycznym tworem doktryny równowagi sił. Przykład ten ujawnia, iż brytyjska idea Europy Zjednoczonej jest jednostronna, bo wyłącznie polityczna i militarna, że przez tworzenie bloków państw opóźnia, lecz nie zapobiega wojnie, wreszcie że gdy wojna wybucha, czyni ją powszechną.

Francuska wersja Europy Zjednoczonej jest w przeciwieństwie do brytyjskiej ideą czysto kulturalną. Francja tak określiła swe wartości narodowe, by stać się mogły podstawą europejskiego patriotyzmu. Istniał okres w Europie, gdy Paryż był stolicą świata, język francuski językiem dobrego Europejczyka, idea francuskie jego wiarą i światopoglądem. Lecz ta rola nakładała na Francję heroiczny obowiązek: życia zgodnego z ideałem. Więc Europy przysła, gdy jej wierze zabrakło przykładu.

Wersja niemiecka idei Europy Zjednoczonej jest jeszcze ciągle w naszej pamięci. W sposób paradoksalny geniusz niemiecki połączyć ją umiał jedynie z ideą *Herrenvolku*. Hitler podbił Europę, lecz nigdy jej dla siebie nie pozyskał. Doktryna wyższości rasyowej wykluczała organiczne scalenie Europy, które Niemcy wysuwały jako swoje dziejowe zadanie. Idea *Herrenvolku* i idea Europy Zjednoczonej nie mogły być częścią tego samego planu i nie mogły być jednocześnie wprowadzone w życie.

EUROPA ZJEDNOCZONA — W PODZIEMIACH

Ideę swego własnego zjednoczenia Europa Podziemna tworzyła na dwóch drogach. Po pierwsze idea ta formowała się w wyniku protestu narodów europejskich przeciw doktrynie *Herrenvolku* i wspólności cierpień wszystkich ludzi w hitlerowskiej Europie, pogłębiającej poczucie ogólnoludzkiej solidarności i sympatii. Tą drogą uświadomiona wspólnota europejska była wynikiem warunków stworzonych przez system niewoli i terroru i szybko zanikała na skutek zniknięcia warunków, które ją wywołały.

Po wtóre jednak, w ogniu walki, którą część lub całość poszczególnych narodów europejskich wypowiadziła hitleryzmowi poczucie, iż Europa stanowi pewną i polityczną i kulturalną jednostkę, nabrało żywego kształtu jako codzienna praktyka życia. W ciągłym, codziennym niebezpieczeństwie w okupowanej Europie stało się rzeczą oczywistą, iż geograficzne pojęcie Europy ma określony sens polityczny, społeczny i kulturalny. Ludzie ruchów podziemnych mieli przed oczyma określony sposób życia, określone prawa jednostki w państwie, jej obowiązki w stosunku do innych członków społeczeństwa, określony pogląd na człowieka, stawiający godność, szczęście i dobrobyt jednostki żyjącej w państwie uznającym zasady wolności, tolerancji, sprawiedliwości społecznej, równości wobec prawa i szans życia, jako najwyższy sens swego istnienia. Ruchy podziemne na kontynencie europejskim oddały pracę i życia swych członków nie tylko na rzecz odzyskania utraconej niepodległości, lecz i dla urzeczywistnienia tych zasad wspólnych wszystkim obywatelom Zjednoczonej Europy.

O SOLIDARNOŚĆ LUDZI WOLNYCH

Przyszłość Europy zależy od tego, czy przetrwa moralna treść jej oporu. Jeżeli zaniknie świadomość, o co walczyły narody, które straciły niepodległość, jeżeli rezygnacją i pogodzenie z losem stanie się wyznaniem mas i jednostek, jeżeli nadal w imię postępu szerzyć się będzie pogarda dla „sędziwego” liberalizmu ubiegłego wieku z jednoczesnym kultem podejrzanego realizmu i nawet cynizmu, jeżeli wreszcie dojdzie do fatalistycznej zgody na „nieuniknioną dążność wydarzeń”, wówczas geograficzna Europa stanie się prowincją kulturalnej Eurazji. Będzie to nie tylko zmierzchem, lecz i śmiercią Europy. Przeciwdziałać temu może jedynie natychmiastowa, zorganizowana i świadoma swych celów solidarność wszystkich ludzi wolnych i wolność miłujących.

W ich szeregach nie może zabraknąć Polaków.

/Z manifestu Rządu R.P. do Narodu/

ZBIGNIEW JORDAN

7 PYTAŃ

Gdy będą wam mówić, że Polska odzyskała niepodległość, że jest wolna, demokratyczna i że nie stoi już na drodze waszego powrotu — zażądajcie odpowiedzi na tych siedem pytań:

Czy istnieje prawo swobodnego wyrażania opinii o rządzie, prawo krytyki tego rządu i opozycji wobec niego?

Czy lud ma prawo obalić rząd, z którego jest niezadowolony i czy istnieją konstytucyjne sposoby wyrażania woli ludu?

Czy trybunały sprawiedliwości wolne są od nacisku władz wykonawczych i wolne od wszelkich groźb gwałtu ze strony tłumu i czy są niezależne od jakichkolwiek poszczególnych partii politycznych?

Czy trybunały te sądzą jawnie i według ustanowionych z góry ustaw, łączących się w umyśle ludzkim z szerokimi zasadami uczciwości i sprawiedliwości?

Czy istnieje równe prawa dla biednych i bogatych, dla osób prywatnych i dla urzędników państwowych?

Czy prawa jednostki spełniającej swe obowiązki wobec państwa są zachowane, zabezpieczone i cenione?

Czy zwykły chłop, czy robotnik, zarabiający na życie codzienną ciężką pracą i dążący do utrzymania swej rodziny, wolny jest od strachu, że członek jakiegokolwiek organizacji policyjnej pozostającej pod kontrolą jedynej partii, jak n.p. Gestapo, ustanowionej przez partię hitlerowską czy faszystowską, nie położą mu ręki na ramieniu i nie wtrąci go do więzienia, lub nie podda go katowaniu bez uczciwego i jawnego osądzenia.

Te pytania są „lakmusowym papierkiem”, są „wykrywaczem” wolności. Jeśli w Kraju istnieją wszystkie instytucje, wymienione w tych pytaniach — znaczy, że Polska jest wolna. Jeśli lud polski praw tych nie posiada — nie posiada również i wolności.

Pytania te nie są naszym wynalazkiem. Sformułował je przed rokiem prem. Churchill w manifestie do narodu włoskiego. Warto przypomnieć je tym Brytyjczykom, którzy dziwią się, że Polacy wciąż jeszcze wahają się z decyzją.

NOWE SPOTKANIE „WIELKIEJ TRÓJKI”

Lada dzień „Wielka Trójka” spotka się ponownie — tym razem jednak w nieco zmienionym składzie. Miejsce zmarłego prezydenta Roosevelta zajął prez. Truman. Premier Churchill nie jedzie sam, lecz w towarzystwie przywódcy brytyjskiej opozycji, p. Attlee. Wielka Brytania jest państwem demokratycznym i chociaż, jak twierdzą znawcy, wynik wyborów jest już przesądzony na korzyść prem. Churchilla, to jednak

Przegląd tygodniowy

premier — przed oficjalnym ogłoszeniem rezultatów — nie czuje się uprawniony w tym niepewnym momencie do reprezentowania całego narodu. Stąd udział przywódcy opozycji w obradach. Rosję — jak i na poprzednich spotkaniach — reprezentować będzie marszałek, a raczej obecnie już generalissimus Stalin.

Chociaż skład „Wielkiej Trójki” ulega widocznej zmianie, to jednak nie zmienia się zasada, na podstawie której współdziałają trzy mocarstwa. Ich kierownicza rola w świecie została zatwierdzona przez konferencję zjednoczonych narodów w San Francisco. Przyszłość świata, sprawy wojny i pokoju zależą wyłącznie od postanowień „Wielkiej Trójki”.

Obecne spotkanie jest pierwszym, które nas Polaków nie napawa niepokojem. Teheran przyniósł podział Europy na dwie strefy wpływów, wypychając Polskę na orbitę interesów rosyjskich i odcinając ją od Zachodu. W wyniku Jałty straciliśmy połowę naszego terytorium państwowego i prawo decydowania o własnych losach. Umowa moskiewska i uznanie warszawskiego rządu były tylko postawieniem kropki nad „i”, wypisanym przez deklarację krymską.

Nie gorszego spotkać nas już prawdopodobnie nie może, dla tego też nowemu spotkaniu — jeżeli chodzi o sprawy polskie — przyglądać się będziemy z punktu widzenia tego przysłowiowego niedzarda, któremu zabrano wszystko.

Nie znaczy to jednak, że pozbywszy się sprawy polskiej, mocarstwa będą mogły narzekać na brak tematu obrad. Od czasu Jałty zaszły na świecie olbrzymie zmiany i układ krymski nie wszędzie wykonano tak dokładnie, jak w sprawie Polski.

OKUPACJA RZESZY

Na pierwsze miejsce w stosunkach

między aliantami wybija się sprawa okupacji Niemiec i sam fakt, że spotkanie odbywa się na terenie Rzeszy ma do pewnego stopnia symboliczne znaczenie.

Okupacja Niemiec miała — jak wiadomo — odbywać się łącznie. We wszystkich czterech strefach okupacyjnych alianci mieli stosować wspólną politykę gospodarczą i wspólne metody postępowania wobec ludności niemieckiej. Tymczasem jednak po obu stronach linii demarkacyjnej sprawy przedstawiają się zgoła odmiennie. Gdy u Anglików i Amerykanów obowiązuje zakaz „fraternizacji”, bratanie się między żołnierzem sowieckim, a niemiecką *Fräulein* odbywa się — jak twierdzą korespondenci brytyjscy — na całego. Gdy Anglicy i Amerykanie na okupowanych przez siebie terenach zakazują Niemcom wszelkiej działalności politycznej — pod okupacją sowiecką komunisty niemieccy prowadzą gwałtowną kampanię propagandową, rekrutując masowo członków. Takich kontrastów jest zresztą bez liku.

Radio berlińskie od dłuższego czasu propagowało sielankowe życie w Berlinie pod okupacją sowiecką. Opowiadano o pomocy żywnościowej, jaką Niemcy otrzymują od Rosjan /pod okupacją anglo-amerykańską muszą się żywić sami/, o ludności cieszącej się z wyzwolenia spod hitlerowskiej opresji, o wiecach, teatrach, kinach. Obecnie korespondenci aliancy mieli okazję przyjrzeć się z bliska Berlinowi. Z tego co opowiadała wynika, że sielanka, owszem, jest, ale w nocnych lokalach, gdzie oficerowie sowieccy tańczą z Niemkami.

CO SIĘ DZIEJE W BERLINIE?

Ta wspólna okupacja Berlina obfituje na wstępie w liczne niespodzianki. W końcu ubiegłego tygodnia o-

pinia brytyjska dowiedziała się nie spodziewanie o rozkazie brygadiera O. M. Wales, który stoi na czele brytyjskiej służby transportowej w Berlinie. Brygadiera Wales, stwierdziwszy, że w wyniku jakichś nieznanых mu nieporozumień żołnierze brytyjscy nie otrzymali kwater w Berlinie oświadczył m.i.

„Czuje, że niektórzy z was muszą się oburzać na surowe przepisy bezpieczeństwa wprowadzone przez Rosjan w całej dzielnicy, w której żyjemy i pracujemy. Dla tego też pospieszam poradzić wam, byście się nie obrażali o te przepisy i nie tłumaczyli ich sobie jako wyraz braku zaufania i podejrzliwości. Nasi rosyjscy sprzymierzeni doprowadzili przepisy bezpieczeństwa do niezwykle wysokiego poziomu i najwidoczniej mają zamiar utrzymywać je nadal — mimo że działania wojenne już ustały”.

W trzy dni po opublikowaniu tego rozkazu przyszły nowe wiadomości. Okazało się, że władze brytyjskie zdecydowały się nie wprowadzać tymczasem w okupowanej przez siebie części Berlina — zarządu wojskowego. W części brytyjskiej działa wciąż administracja rosyjska. Oficjalna przyczyna tej decyzji jest sprawa żywnościowa. Tereny rolnicze wokół Berlina, które żywiły stolicę, okupowane są przez Rosjan. Zażądali oni, by Brytyjczycy sami żywiłi ludność swej dzielnicy miasta, co jest sprzeczne z zasadami stosowanymi przez władze brytyjskie w ich strefie okupacyjnej. Rosjanie utrzymują, że żywią sami ludność.

Z podobnymi trudnościami spotkali się Amerykanie w ich dzielnicy Berlina. Zdecydowali się oni jednak utrzymać swój zarząd wojskowy, mimo że zgodnie z rozkazem marsz. Żukowa, rosyjski zarząd wojskowy nie został z tej dzielnicy wycofany.

Obecnie czynione są liczne wysiłki, zmierzające do załatwienia całej

sprawy przez usunięcie trudności żywnościowych i transportowych. Sytuacja na miejscu jest jednak tak zagmatwana, że trudno w niej się zorientować. Doniesienia dzienników też nie są tu wielką pomocą. W niektórych z nich /n.p. „Daily Express”/ pełne „dobrych woli” komentarze redakcyjne i doniesienia korespondentów z Berlina stoją w wyraźnej sprzeczności.

Chociaż więc „Wielka Trójka” będzie się musiała zająć innymi jeszcze niezakończonymi sprawami, to jednak sprawa Berlina może — mimo takich czy innych, lokalnych rozstrzygnięć — wypłynąć w czasie jej obrad tym bardziej, że Berlin jest jakby wzorem dla przyszłych, wspólnych zasad administracji, które mają być zastosowane w całej Rzeszy.

BAŁKANY I DALEKI WSCHÓD

Nie jest załatwiona również sprawa okupacji Austrii, gdzie w Wiedniu pozostają nadal wyłącznie Rosjanie i rząd tymczasowy — jak dotąd — nieuznany przez mocarstwa zachodnie. Punkt ciężkości sytuacji międzynarodowej przenosi się jednak coraz wyraźniej na Bałkany.

Naciski Rosji na Turcję wznowiły zawsze trudne i grożące komplikacjami zagadnienie cieśnin. Trudno pomyśleć, by Turcja, która zamierza bronić oczywiście swoich uprawnień, nie otrzymała jakiegos poparcia ze strony W. Brytanii, zawsze zainteresowanej w sprawach basenu śródziemnomorskiego.

Sprawa Jugosławii przedstawia się również kłopotliwie. Tito — chociaż ustąpił z Triestu — nie zaprzeczał jednak swej działalności propagandowej w tym mieście i jego okręgu.

Tito w ogóle zachowuje się niezwykle wojowniczo. Zapowiedział on ostatnio, że nie zamierza zdemobilizować swej armii tak długo, jak długo „inne armie pozostają pod bronią”. Oskarżył on również Greków o agresywną postawę na pograniczu grecko-jugosłowiańskim i o prowokowanie wypadków granicznych.

Zorganizowana kampania przeciw „reakcyjnej” Grecji jest ulubionym argumentem „rosyjskiej strefy wpływów”, który na spotkaniu „Wielkiej Trójki” znajdzie niewątpliwie swój oddźwięk.

Te wszystkie przykłady nie wyczerpują oczywiście domniemanego porządku obrad konferencji w Berlinie. Jednym z jej głównych tematów będzie bowiem również inna kwestia, nie dotycząca bezpośrednio Europy. Sprawa ewentualnego przystąpienia Rosji do wojny z Japonią i jej żądań terytorialnych i politycznych w stosunku do Chin — stwarza olbrzymi problem dla dyplomacji amerykańskiej.

ZASTĘPCA

ś. † p.

Maria z Kossaków Pawlikowska-Jasnorzewska

poetka i dramatopisarka
współpracowniczka „Polski Walczącej” od początku jej istnienia
zmarła po długich i ciężkich cierpieniach w Manchester dnia 9 lipca
żegnamy w Niej z żalem szlachetnego człowieka, wielką pisarkę i drogiego,
nieocenionego przyjaciela

REDAKCJA „POLSKI WALCZĄCEJ”

Wojna na morzu

DARDANELE I TANGER

Kwestia Cieśnin Tureckich /Bosfor i Dardanele/ oraz sprawa położonego naprzeciw Gibraltaru międzynarodowego terytorium w Tangerze zaczyna wychodzić na światło dzienne. Kronika niniejsza nie ma charakteru politycznego, to też nie komentujemy tu stanowiska Rosji. Ograniczamy się do stwierdzenia, że zarówno Dardanele i Bosfor, jak i Tanger są kluczami do Morza Śródziemnego i tamtejsze biegnie też droga na Bliski Wschód, do Indji i na Daleki Wschód. Kto panuje w Dardanelach ten — przy dzisiejszym zasięgu lotnictwa — ma bezpośredni wpływ także i na ruch w Kanale Suezkim.

W czasie wojny — wobec niebezpieczeństwa włoskiego /okręty i samoloty/ olbrzymia większość transportów brytyjskich musiała iść na Bliski i Daleki Wschód naokoło Afryki, co powodowało ogromną stratę czasu i wymagało dwukrotnie, a nieraz i czterokrotnie większego tonażu transportowego. Gdyby Hitler zdobył się na pogwałcenie neutralności hiszpańskiej, względnie pozyskał Franco jako sprzymierzeńca czynnego, los Gibraltaru byłby przesądzony. Spowodowałoby to upadek Malty i uniemożliwiło wszelkie operacje w Północnej Afryce, pozbawiając Anglię straciłaby jedyną większą bazę na środkowym Atlantyku.

Stan prawny Cieśnin Tureckich przechodził rozmaite okresy. Po wojnie krymskiej /1855/ Rosja została zupełnie zamknięta na Morzu Czarnym. Po wojnie rosyjsko-tureckiej r. 1878 pozwolono na przechodzenie przez Cieśniny statków handlowych. Po ostatniej wojnie światowej traktat w Montreux zezwolił na pewne wyjątki na korzyść Rosji, przyczem pancernik „Pariżska Komuna” i krawoznik „Komintern” /dziś nazwy te są zmienione — powrócono do dawnych ex-carskich/ były pierwszymi wojennymi okrętami sowieckimi, które przeszły z Bałtyku na Morze Czarne. Obecnie — jak donosi prasa — Rosja żąda zapewne całkowitej swobody pływania i kontynuum w Cieśninach.

NA PACYFIKU

Od Sachalinu, którego południowe wybrzeże bombardowane było przez sprzymierzone okręty wojenne, aż po Borneo, gdzie wojska sojusznice wyładowały na polach naftowych Balikpapan — trwają walki. Z całości wyłania się na tych olbrzymich prze-

strzeniach obraz następujący:

Zajęcie przez Amerykanów kluczowych pozycji na Filipinach rozciąga na pół teatr operacyjny Pacyfiku. Dzięki panowaniu Sprzymierzonych na morzu wszystkie lądowe zwycięstwa Japonii runęły jak domek z kart. Dziś wojska japońskie w Burmie, Indo-Chinach i Południowych Chinach, a także na archipelagach Oceanu Spokojnego odcięte są od metropolii, a likwidacja ich jest tylko kwestią czasu.

Dzięki marynarce wojennej i lotnictwu Sprzymierzonych wojska ich będą mogły dokonać tej likwidacji stosunkowo łatwo i raczej skromnymi środkami. Już sam fakt, że na Okinawa Japończycy walczący dotychczas na śmierć i życie, zaczęli się poddawać — daje dużo do myślenia.

Inaczej przedstawia się sprawa desantu na wyspach metropolii japońskiej. To będzie znacznie trudniejsze. Ale wiadomo, że marynarka daje w ręce nacierającego prawo wyboru miejsca i zgromadzenia odpowiednich sił na obrany kierunek. Obronca musi czekać aż desant nastąpi — niepewny miejsca i chwili, nie wie co znajdzie przed sobą. Nie może zaś być jednakowo silny wszędzie, wzdłuż całego wybrzeża Japonii.

Obecnie już wiadomo, że Niemcy liczyli we Francji na desant w Pas de Calais, podczas gdy wyładowanie nastąpiło w Normandii. Zanim ściągnięto rezerwy, Alianci uzyskali przyczółek, którego już nie sposób

było zlikwidować, bo broniła go cała potężna artyleria floty. Z Japonią może być — jak doświadczenie desantów filipińskich uczy — to samo.

W międzyczasie brytyjski okręt podwodny zatopił na tych wodach krawoznik japoński o wyporności 10.000 ton, a inne okręty sprzymierzone kilkanaście transportowców i eskortowców nieprzyjaciela. Amerykanie stracili ostatnio 2 kontrtorpedowce na skutek działań lotniczych.

H.M.S. „ARGONAUT”

Cudowna historia lekkiego krawoznika brytyjskiego „Argonaut” została dopiero teraz opublikowana. W r. 1943 krawoznik został trafiony dwoma torpedami z okrętu podwodnego i stracił zarówno dziób, jak i rufę. Ster i dwie śruby odpadły. Przy pomocy dwu pozostałych śrub okręt przebył Atlantyk z szybkością 4 — 6 węzłów i dotarł do Ameryki, gdzie został wyremontowany. Dorobiono mu prawie połowę ogólnej długości. „Argonaut” był nowoczesnym krawoznikiem o wyporności 5000 ton. Fakt, że ocalał, świadczy wybitnie na korzyść konstrukcji okrętu oraz sprawności załogi.

PRACA POŁAWIACZY MIN

Brytyjskie i sprzymierzone poławiacze min wyłowili lub unieszkodliwili dotychczas 20.420 min. Cyfry te nie zawierają operacji trałowania na wodach Pacyfiku i u brzegów

Ameryki. Z 1533 poławiaczy min zatrudnionych przy tej niebezpiecznej pracy, zginęło 263. Personel wynosił ogółem 60.000 oficerów i marynarzy, z których wielu przypłaciło życiem torowanie drogi do zwycięstwa.

Polska w obecnej wojnie straciła 10 poławiaczy min, nie objętych powyższą cyfrą. Wszystkie zginęły na Bałtyku, a nazywały się: „Kometant Piłsudski”, „Generał Haller”, „Jaskółka”, „Czajka”, „Mewa”, „Rybitwa”, „Czapla”, „Żoraw” oraz pomocnicze — „Gdańsk” i „Gdynia”. Obsadzone przez nas-swego czasu po upadku Francji kutry trałowe na La Manche, zostały później zwrócone Francuzom i Belgom.

MAŁA KALKULACJA

„Dziennik Polski” z 2 i 5 lipca p.t. „Prosimy o fair play” rozprawił się z głosami niektórych pism brytyjskich, żądających wstrzymania poborów Polskim Siłom Zbrojnym. Jedno z pism posunęło swą nielojalność do tego stopnia, że żądało wstrzymania poborów przed 1 lipca, twierdząc iż w ten sposób skarb brytyjski oszczędzi 5 milionów funtów.

Oczywiście większość opinii brytyjskiej nie podzielała tego stanowiska, a poważniejsze dzienniki podawały, że brytyjskie sfery rządowe ubolewają nad tego rodzaju wywodami. Status Polskich Sił Zbrojnych nie uległ zresztą żadnej zmianie.

Jeśli jednak wziąć pod uwagę kto i o komu jest winien, to mogliby-

śmy śmiało wystawić rachunek za pewne osiągnięcia wojenne. I okazało by się, że pieniądze ulokowane w Polskich Siłach Zbrojnych były bardzo rentownym przedsięwzięciem. Nie mówiąc już o wysiłku zbrojnym, o walkach czy o rezultatach poszczególnych akcji bojowych, sama polska marynarka wojenna ocalała lub wspomagała 25 sprzymierzonych okrętów wojennych, uszkodzonych wskutek akcji nieprzyjaciela. W tej liczbie znajdują się 4 pancerniki i 3 krawozniki oraz monitor.

Czysta wartość tych okrętów — około 45 milionów funtów. Cztery uratowane kontrtorpedowce /na ogólną liczbę pięciu, bo jeden zatonał/ dają okrągo dalsze 2 miliony. Inne okręty — w tym jeden z dwu uratowanych podwodnych — około 3-ch milionów. Z 37 statków handlowych uratowano dwa tuziny — nie mówiąc o uratowanych rozbitkach. Jeśli wziąć pod uwagę nie tylko wartość statków, ale też wartość ich ładunku, to możemy śmiało dodać dalsze 10 milionów. Wszystkie to oczywiście w obliczeniu bardzo niedokładnym, tym nie mniej raczej mniejszym od wartości rzeczywistej.

No, a gdzie są odszkodowania, jakie należało by wypłacić rodzinom marynarzy i pasażerów, którzyby zginęli, gdyby nie czujność i sprawność polskich okrętów wojennych. Sumy te również szłyby w miliony.

Jednym słowem stwierdzić można, że w samych tylko akcjach osłonowych czy ratowniczych Polska Marynarka Wojenna „zarobiła” 60 — 70 milionów funtów, czyli 14 miesięcy budżetu polskiego. Zapłaciła za to sama stratą 24 okrętów i życiem czy zdrowiem bardzo wielu marynarzy. To samo dotyczy polskiej marynarki handlowej, która ponadto żywiła Zjednoczone Królestwo i przetrwała od Murmańska po Nową Zelandię wojsko, sprzęt i wszelakiego rodzaju zasoby.

No, a przecież nie ma tu mowy o właściwych osiągnięciach bojowych. Jak na przykład ocenić można w pieniądzu takie oświadczenie dowódcy flotyli okrętów podwodnych na Malcie, skierowane do załóg „Sokoła” i „Dzika”:

„Wasza dzielność wzbudziła nasz podziw i była dla nas natchnieniem. Natchnieniem takim pozostanie na zawsze”.

Nie! Panowie z prasy brytyjskiej zagalopowali się tym razem trochę poza dozwolone granice...

JULIAN GINSBERT

Ostatni dzień Czerniakowa

Harcerski Batalion „Zośka” był jednym z najpiękniejszych oddziałów Polskiej Podziemnej. Jego początek i pierwsze akcje polskich podziemnych „commandosów” znane są w kraju, a także i w Londynie z książki J. Góreckiego „Kamienie na szaniec” /Stones on the rampart/.

Oddział ten brał udział w powstaniu warszawskim w walkach na Woli, potem na Starym Mieście; jako jedyny przeszedł do Śródmieścia przez Ogród Saski. Bardzo skrwawione walki na najtrudniejszych pozycjach, wysłany został w pierwszych dniach września do dzielnicy wówczas najspokojniejszej — do Czerniakowa.

Ale i tutaj po jego przybyciu zmieniła się sytuacja. W połowie września Armia Czerwona przystąpiła do udzielenia bezpośredniej pomocy dla walczącej od tygodni Warszawy — pomocy jakże nikłej i spóźnionej. Nastąpiły rzuty broni i żywności na place Warszawy, a na brzegu czerniakowskim wyładował jeden batalion t.zw. armii Berlinga. Dowodził nim oczywiście oficer sowiecki. Została nawiązana łączność z artylerią sowiecką. Fala nadziei przeszła przez miasto.

Ale natychmiast Niemcy z furją przystąpili do likwidacji przyczółka czerniakowskiego. Od 13 września Czerniaków został otoczony, łączność ze Śródmieściem przerwana. Większość oddziałów Armii Krajowej udało się jeszcze wycofać kanałami do Mokotowa i Śródmieścia; pozostał jedynie batalion „Zośka” z zadaniem utrzymania przyczółka, któryby umożliwiał dalsze lądowanie pomocy sowieckiej. Z miasta można było obserwować wściekły ogień artylerii i granatników niemieckich, ataki „Stuku”, słychać było ciągle ponawiające się natarcia niemieckie. 24 września Czerniaków ucieł. Co się stało z oddziałami, które tam zostały odcięte, co przede wszystkim stało się z batalionem „Zośka”?

Rankiem 24 września do lokalu Głównej Kwatery Harcerzy w Śródmieściu przyszedł o lasce, okrwawiony, znużony śmiertelnie dowódca harcerek batalionu; żołnierskimi słowami opowiedział dramatyczną historię ostatniego dnia Czerniakowa, który był ostatnim dniem harcerek batalionu „Zośka” i ostatnim dniem nadziei na jakąkolwiek rzeczywistą pomoc z brzegu praskiego.

I.

Nadszedł dzień 23 września. Obudziłem się ze stanu półdrzemki, w jaką zmęczony człowiek zapadał między jednym a drugim natarciem, między jedną a drugą obroną. W uszach huczą mi jeszcze ostatnie wybuchy granatów, rwących się nad naszymi głowami. Słyszę jeszcze cichy pojęk rannych i umierających, leżących pokodem w ciasnym korytarzu piwnicy, potrąconych przez kolegów śpieszących na stanowiska.

Alarm! Niemcy nacierają! Okrzyki te nie wywołują jakiegś gorączkowego krztałtania, gdyż stały się już chlebem powszednim garstki obrońców. Pośpiech ich jest jakiś przytłumiony, jak pośpiech robotnika wykonującego swe codzienne czynności. I znowu terkot ckm'u zagłusza jęki rannych, granaty rwą się po staremu i po staremu giną ludzie.

Niemcy są już w garażu. Ich próby przedarcia się do budynku, w którym siedzimy my, paraliżuje nasz karabin maszynowy, długimi seriami wymiatający podwórko. Kilku śmielszych żandarmów wije się już w mękach konania we drzwiach garażu. Inni cofają się w popłochu.

Teraz kolej na nasze granaty. Lecą „filipinki”, lecą sowieckie ppance — przez bramę i dach garażu. Wyrwają belki palupa, który wali się z suchym trzaskiem i znów słychać jęki rannych. Teraz my nacieramy, skokami przez podwórze za pierwszy filar bramy, do garażu, do stróżówki, starą drogą zasłaną nowymi trupami. Kilka krótkich serii peemów, jeszcze jeden wybuch granatów i cisza.

Chłopcy wracają zwolna, niosąc zdobycz; peemy, kb, granaty. Ale to, co niedawno jeszcze wzbudzało ich entuzjazm, dziś rzucające obojętnie, powiększa stos zgromadzonej już poprzednio broni, nikomu niepotrzebnej, bo przewyższającej znacznie wciąż malejącą liczbę obrońców. Patrzę na zmęczone i wymizerowane twarze, na których parodiowa głódówka wycisnęła już wyraźne piętno. Widzę, jak z ufnością patrzę na mnie, wierząc, że dzień dzisiejszy jest ostatnim dniem piekła, w którym tkwimy już szereg dni. To im obiecałem.

Leniwa myśl coraz bardziej gorączkowo układa plan przebiecia się do Śródmieścia. Rzecz to niełatwa.

Dane, którymi rozporządzam są bardzo skromne. Gdzie są Polacy? Przed 10 dniami ktoś nam przyniósł wiadomość, że nasi opanowali plac Trzech Krzyży, zajęli budynek w górnej części ulicy Książęcej; poszerzyli stan posiadania na teren Frascatti. Ale gdzie są obecnie? Czy utrzymali się na tych pozycjach, czy też zostali wyparci; a może są bliżej, niż przypuszczam? Tej ostatniej myśli przeczy ciska, która trwa od paru dni na kierunku Śródmieścia.

A więc plac Trzech Krzyży — to chyba można przyjąć. Tu w tok myśli wpada gorączkowy meldunek: radiostacja nie działa, akumulatory wyczerpane, na współpracę artylerii sowieckiej już od-tąd liczyć nie można.

Myśl, że ostatnia nić, łącząca nas ze światem została zerwana, wprowadza mnie w stan gorączkowej działalności. Zsuwam się z tapczanu, ciągnąc za sobą obolałą nogę. Kuszytką z laską do kuchni, w której stoi radiostacja. Otaczają ją rozgorączkowane twarze: majora Łatyszonowa, radiotelegrafisty i kilku ludzi obsługi. Padają słowa polskie i rosyjskie. Dowódca plutonu łączności tłumaczy, że od kilku dni prosi o przysłanie nowych akumulatorów, ale bezskutecznie. Pozostają jeszcze rakiety, ale jak przy ich pomocy regulować ogień artylerii?

Pytam, czy mogą zastąpić akumulatory bateriami telefonicznymi i latarkowymi. To im nie przyszło na myśl — ale można spróbować. Wołam jednego z chłopców, znającego się na elektrotechnice, i polecam wymontować wszystkie baterie ze zbędnych zresztą aparatów telefonicznych. Polecam zebrać wszystkie baterijki z latarek, jakie się u nas jeszcze znajdują. Sam siadam i poddaję swą nogę zabiegom wprawnych rąk sanitariuszek.

Patrzę na ich umorusane i zmęczone twarze, na ich zręczne ręce, krzątające się żwawo przy bandażach. I znów doznaję dziwnego skurczu serca na myśl, co stanie się z tą garstką dziewcząt, które towarzyszyły nam wszędzie, w chwilach radosnych zwycięstw i ciężkich porażek. Myśl wraca ciągle do jednego wieczoru, jakże niedawnego, gdy w gronie najbliższych przyjaciół, dowódców kompanii i instruktorów harcerek, siedzieliśmy przy kominku, z radosną gorączkowością snuliśmy projekty na „po wojnie”, szukając swego miejsca w wirze pracy obywatelskiej, której owocem miała być wielka i lepsza Polska. Piotr, Andrzej Morro, Długi, Witold, Florian, Koleczan, Jureczek Sadowy, Wika i ja. Mówiliśmy o metodzie pracy wychowawczej w naszym oddziale: o kształtowaniu charakteru pełnego człowieka. Padły gorące słowa, twarze oświecone ruchliwym płomieniem kominka promieniały jakimś dziwnym zapalem.

A teraz? Zostaliśmy Witold, Wika i ja. Ciało Jureczka leży jeszcze teraz o dwa piętra nad nami, niedostępne z powodu wściekłego ognia npla, który przez zawaloną pociskami z „Tygrysów” ścianę szczytową ma wygodną obserwację na klatkę schodową. Przecież z nim wczoraj jeszcze wspominaliśmy, na kilka minut przed jego śmiercią, kolegów poległych na Woli i Starówce.

W tok rozmyślań wpada gorączkowym głosem powtarzane: *Elektron tu Sokół, Elektron tu Sokół, Poniół, Poniół, Elektron tu Sokół, Elektron tu Sokół*... To odezwała się znowu radiostacja.

Zarządza odprawę w ścisłym gronie: ksiądz Paweł, mjr. Łatyszonow, oficer obserwacyjny sowieckiej artylerii, Witold. Oświadczam: W ciągu dnia dzisiejszego musi nastąpić ewakuacja reszty oddziałów „Berlingowców” i moich. Jest obecnie godzina 6 rano. Ewakuacja musi rozpocząć się od godziny 8-ej. W związku z tym żądam: o godzinie 7.50 ogień artylerii na pozycje niemieckie w rejonie ulic: Rozbrat, Solec róg Ludnej, Gazowni, Zagórnej. Spółdzielni „Społem”, Okręg 2. Równocześnie ogień ciężkich dział na Sejm, Al. Szucha, Pole Mokotowskie, Filtry, Ogród Saski, Szpital Łazarza. Ogień bezpośredni na Solec i Wilanowską po obu stronach przyczółka, który trzymamy między ulicą Wilanowską a Zagórną. Zapórę ogniową po linii skoś-

nej od ulicy Wilanowskiej róg Solca przez tereny „Społem”, Czerniakowską do Górnośląskiej. Sama przeprawa powinna zacząć się o godzinie 8-ej w kolejności następującej: ciężko ranni, lekko ranni, kobiety i ludność cywilna, „Berlingowcy”, ja ze swoim oddziałem. Ubezpieczenie przyczółka od strony pln. i zach. w czasie przeprawy obejmuje drużyna Jurasa wzmocniona ckmem, ubezpieczenie z pld obejmą dwie drużyny fizylierów z jednym ckmem i dwoma lkmami. Stanowisko w miejscu lądowania obsadzi „Słom” z jedną sekcją z lkmem. Ponieważ żołnierze nasi od trzech dni nie jedli, proszę o natychmiastowy rzut żywności w rejon posesji Wilanowska 1. W czasie przeprawy proszę o zasłone dymną. Gdyby dowództwo 5-ej dywizji odmówiło z jakichś względów swej pomocy, jestem zdecydowany w nocy przebiec się z oddziałem do Śródmieścia: szczegółowy plan i rozkazy podam do wiadomości w odpowiednim czasie.

Nie wiele było do dodania. Mjr. Łatyszonow rozumiał całą grozę sytuacji. Żołnierze jego jawnie buntowali się. Wczoraj pewna ich część poddała się Niemcom, dziś coraz częściej słychać głosy za poddaniem się.

Radiostacja znów pracuje. Mówi Łatyszonow. Powtarza słowo w słowo moje żądania. Po chwili komunikuje mi przychylną decyzję swego dowództwa z tym, że godzinę rozpoczęcia przeprawy przesunięto na 9-a, a przesłona z mgły będzie wykonana w kilku oddzielnych falach. Dostaniemy 100 pontonów po 20 osób pojemności każdy. Kolejność przeprawy zaakceptowana.

Widzę wokół rozjaśnione twarze. Wiśń o przeprawie podawana z ust do ust biegnie do najdalej położonych stanowisk. Dzień wstaje pogodny i Saska Kępa nęci bliskością swego brzegu, jasnością niezniszczonych domów. Na brzegu praskim obserwujemy niewielki ruch cywilnych kobiet.

Oczy strzelców tkwiących na stanowiskach kleją się ze zmęczenia. Patrzę na ich umęczone twarze, na ich zgnębione ciała, szarpane bólem ran niedostatecznie opatrzonej, zropiałych. Mówię z nimi spokojnie, rzeczowo, staram się wlać im w serca wiarę w szczęśliwe zakończenie dramatu, którego są aktorami, odchodzę szczęśliwy, gdy uda mi się wywołać uśmiech na ich twarze.

Wszystkim wmawiam, że czeka nas jeszcze dzień wysiłku, gdyż mimo wszystko spodziewam się przeprawy raczej w nocy niż rankiem, przypominam im naszą przeprawę przez Ogród Saski i mówię, że przecież zawsze możemy to samo powtórzyć — tym razem przez Ogród Frascatti. Jakies sztuczne ożywienie zdaje się wstępować w te wychyde ciała. Padają nawet dowcipy. Słychać gdzieś gdzieś śmiech, dawno niespotykanego gościa w tym domu grozy.

Na powiększenie entuzjazmu wpływa zjawienie się patrolu wysłanego po wodę. Poza kotłem wody przyniesli wspaniałą zdobycz: zdeptaną, twardą skórę z wielkiego bochna chleba. Nie wiem, kto ją rzucił na drogę naszego patrolu; wiem jednakże, że takiej radości z pozornie tak błahego powodu nie widziałem dawno.

Mimo woli spoglądam w kierunku rzeki, ku drodze znaczonej ciałami poległych, ku rzecze tak bliskiej, a tak okrutnie dalekiej. Chwilę zastanawiam się, ile krwi kosztowała każda kropla wody wydatka tej rzeki. Jeszcze widząc na brzegu zamarłego jakgdyby w ruchu czerpania człowieka, który już nigdy wody nie zacerpnie, ani nie zbliży do wysłanych ust. Inny leży w postawie spokojnego spoczynku, jakby znużony długą drogą położył się na wilgotnym brzegu rzeki dla zacerpnięcia oddechu.

Stanowczo zbyt często myśl moja ucieka — zawracam ją szybko do gwaru, którym rozbrzmiewa piwnica. To dziewczęta gotują prawdziwą zupę — chlebną zupę. O błogosławiona dłoni, któraś rzuciła na drogę moich chłopców skórę zeschniętego chleba. Ale w gwar radosnych głosów wdziera się znowu okrzyk Witolda: — Alarm, wszyscy na stanowiska!!

To szeroką falą tyralieri biegną Niemcy z rejonu „Społem”. Skokami przebiegają ulicę. Ale już kilku pada skoszonych naszymi karabinami. Inni jednak dopadają

pod szczytową ścianę naszego bloku.

W ciasnym korytarzu piwnicy słychać gorączkowe kucie młota i podczas gdy na podwórzu toczy się zażarta walka, w której peemy i granaty mają najwięcej do powiedzenia, ciemny korytarz piwnicy staje się widownią innej walki, nie mniej zażartej.

Oto nagle sноп światła rozdziera mrok piwnicy i blade twarze rannych wychylają się z ciemności. W nagle powstałym w ścianie otworze ukazują się ręka z jakimś woreczkiem, który usiłuje weisnąć do środka. Rozlega się okrzyk: — Chęć wysadzić ścianę! — i już wre walka przy otworze. Worek już jest wypchnięty. Znowu zjawia się w otworze. Wreszcie wciągnięty do środka umożliwia wetknięcie w otwór peemu. Krótka seria i granaty przez otwór. Jęki rannych, tupot nóg uciekających Niemców łączą się ze skowytom dochodzącym z podwórza. Znowu cisza, której przeraźliwość podkreślają pojedyncze strzały karabinowe.

Wracam do suteryny, w której ksiądz Paweł rozmawia z Martą. Marta to wspaniała łączniczka, narzeczona Jerzyka, którego ciało spoczywa nad nami. Płyną spokojnym potokiem ciche, dobre słowa Ojca Pawła i oczy dziewczyny powoli wysychają.

O, jak wdzięczny jestem losowi, że ksiądz Paweł jest ze mną. Jakże był mi pomocny ten dzielny kapłan w ciężkich chwilach. Rozmawiamy o sytuacji. Obaj nie mamy zaufania do tamtego brzegu, bo czyż można wierzyć zapewnieniom ludzi, którzy przez trzy dni nie potrafili się zdobyć na rzut żywności dla swoich żołnierzy mimo, iż wiedzieli, że ci mdleją z głodu; nie potrafili zdobyć się na przesłanie rzeczywiście skutecznej pomocy mimo, że wiedzieli, iż każdy dzień opóźnienia stawia obrońców w tragicznej sytuacji. I dlatego głównym tematem naszej rozmowy jest możliwość przebiecia się do miasta. Ksiądz Paweł jest pierwszym, z którym dzielę się swoim planem. W jego cichej zgodzie znajduję potwierdzenie słuszności moich rozważań. Trasę ustaliliśmy: Solec, Wilanówką do Czerniakowskiej do Zus'u, Rozbrat, ogrodem wzdłuż Książęcej w kierunku na Instytut Gluchoniemych czy YMCA.

Rozmowę przerywa pojawienie się kilku cywili i wojskowych, którzy przychodzą z parlamentaryzami od Niemców. Jednym z nich jest ksiądz Józef Pallatyn. Przedstawiają znany mi przecież tragiczny los ludności cywilnej. Ranni pozostają od kilku dni bez opieki lekarskiej. Brak środków opatrunkowych uniemożliwia wykonanie najprostszych zabiegów. Od kilku dni ludność wieczorami gromadzi się na brzegu Wisły, licząc na przeprawę. Korowody rannych na noszach, okulach i laskach zalegają bulwar i okoliczne ruiny. Wśród tych nieprzeliczonych rzesz granatniki niemieckie zbierają krwawe żniwo.

— Poddajcie się — pada prośba — przecież ta walka nie ma sensu. Niemcy zobowiązują się traktować was jak żołnierzy armii regularnej. Podziwiają wasze męstwo. Proponują rozejm dla przeniesienia rannych do niemieckich szpitali. W czasie rozejmu ludność i wojsko może bezpiecznie przechodzić na stronę niemiecką.

Wszystkie oczy zawisły na moich ustach: jaką decyzję one wyrzucą? Czyżby rzeczywiście tak miał wyglądać koniec epopei?

Czuje, jak narasta we mnie jakaś niepomahowana złość i wybucham za chwilę potokiem gorzkich słów. Wyrzucam przybyłym, że wdawali się w pertraktację z Niemcami, że śmiało do mnie przychodzić z propozycjami, które uwłaczają godności żołnierza. Znam położenie ludności cywilnej i gotów jestem wyrazić zgodę na jej wymarsz. Położenie rannych jest rozpaczliwe: i na ten temat gotów jestem rozmawiać z Niemcami, o ile mi udzieli dostatecznych gwarancji przywoitogo ich traktowania, ale palnę w łeb pierwszemu z brzegu żołnierzy Armii Krajowej, któryby osmielił się wspomnieć o poddaniu się.

Parlamentariusze godzą się rozmawiać z Niemcami w duchu moich żądań. Na zakończenie do-rzucam, że w czasie rozejmu nie tylko nie wolno strzelać, ale również nie wolno wykonywać żadnych

ruchów o charakterze przesunięć stanowisk. W wypadku niedotrzymania tego ostatniego warunku nie odpowiadam za skutki, gdyż mogą wpłynąć bezpośrednio na swoich żołnierzy, lecz nie mam możliwości wpłynąć na dowództwo armii Berlinga, które rozporządza własną obserwacją, no i artylerią.

Parlamentariusze odeszli. Po upływie kwadransa byli z powrotem. Niemcy godzą się na nasze warunki; jeszcze raz podkreślają, że żołnierze nasi w wypadku kapitulacji będą traktowani z honorami, na jakie zasłużyli swą bohaterką postawą. Znam naszą sytuację żywnościową i wiedzą, że jeśli dziś jeszcze odpowiemy odmownie na ich wielkoduszne propozycje, to jutro sami wywiesimy białą flagę i wymaszerujemy do niewoli.

Ostatnie słowa wywołały uśmiech na twarzach otaczających mnie chłopców i synęły się dowcipy: — Niedoczekanie wasze, Szwabys!

Fale eteru rozbrzmiały rozkazami. Rozejm do godziny 9-ej. Wstrzymać natychmiast ogień artylerii. Po chwili cichną działa, zamiera też trzask niemieckich kmów.

Chłopcy dostali dyspozycje: nie schodzić ze stanowisk, każdy ruch Niemców meldować, w wypadku zauważonej akcji — strzelać. Żadnych rozmów z Niemcami.

Na ulicę wypływa fala cywili. Idą grupami, obdarci i brudni, na twarzach maluje się zępowanie i rozpacz, niepewność losu. Niosą drobne tobołki. To cały ich dobytek ocalony nieraz z narażeniem życia. z ruin zwalonych domów. Jedni idą ze spuszczonej głowami, inni nerwowo oglądają się wokół, jeszcze inni posuwają się niezdecydowanym krokiem człowieka, który w każdej chwili gotów jest cofnąć się. Kobiety prowadzą za ręce lub niosą dzieci. Słychać płacz. Teraz znów dźwigają kogoś na noszach, ktoś inny idzie ciężkim krokiem człowieka rannego wsparty na ramionach towarzyszy. Idzie korowód rannych. Spod bandażu i szmat spoglądają oczy nabrzmiałe, rzekłbyś, wyrzutem. Gdzieś gdzieś w tym korowodzie mar widać mundur.

Teraz kolej na naszych rannych. Ks. Paweł chodzi od jednego do drugiego i spokojnie perswaduje. O, jak trudno jest wytłumaczyć taką konieczność. Wreszcie grupa cywili podnosi nosze. Jak straszną musi być świadomość, że wczoraj jeszcze zdrowi i cali — byłem potrzebnym, ba zdawało by się, nawet niezbędnym kółkiem w maszynie obrony, a dziś bezwolny ochlap ludzki — jestem tylko ciężarem dla kolegów. Takie myśli malują się na zgnębionych twarzach wynoszonych rannych.

Nosze — parodia tego, co normalnie nosi taką nazwę: prowizorycznie sklecone z koców i ram okiennych, czasem to drzwi wyjęte po prostu z futryny, czasem tylko koc czy worek. Korowód ten posuwa się wolno wąskimi schodami piwnicy, odprowadzany milczącymi kolegów, których oczy spuszczone unikają wzroku rannych. Nie pada żadne słowo. I choć żaden wyrzut nie wybiegł na usta rannych, choć żaden cywil nie wybuchł wymówką, to jednak czulem się jak winny tych nieszcześć, bo nie umiałem dać im ochrony, bo nie potrafię przyjąć im z pomocą, a teraz zezwalam na to, aby szli do Niemców, na niepewne jutro.

Przeszedł ten pochód smutny i długo jeszcze cisza wisiała w powietrzu: kroki ostatnich odchodzących cywili odbijały się echem od ruin spalonych domów. Nagle w tę ciszę wpada meldunek: Niemcy w garażu, coś robia, są z nimi cywile.

Wygłądam na zewnątrz i widzę rzeczywiste kilku żandarmów, jakiegoś SS-mana w grupie cywili, krzątających się gorączkowo w garażu. Rzucam krótkie ostrzeżenie i już nasz ckm się krótką serią w stronę zdradliwych Niemców, którzy uciekają w popłochu. Jakby na umówiony sygnał wybuchu jazgot km, dom wstrząsany wybuchami granatów drży w posadach i zasypuje nas tynkiem nadwartłonych ścian. W powietrzu wisi gęsty zapach benzyny czy ropy: za chwilę garaż strzela w górę kaskadą płomieni, która wyjaśnia nam podstęp Niemców.

Polacy w Niemczech

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

W Niemczech, w czerwcu 1945

W obecnej wojnie na tularczych szlakach znalazły się miliony Polaków. Słyszeliśmy o tych w Rosji, na Bliskim Wschodzie, w Indiach, w Meksyku i tylu innych krajach świata. Obecnie — po pobiciu Niemiec — dowiadujemy się nowych szczegółów o tularczy polskim na terenie Rzeszy. Przemoc niemiecka rozrzuciła Polaków po całym terenie Niemiec, gdzie przeżyli wiele lat w niewoli, w obozach koncentracyjnych i w obozach pracy. Wielu z nich ma za sobą potworną rzeczywistość panowania hitlerowskiego. Dziś są — wolni. Niestety jednak wolność nie ziszcila jeszcze wszystkich marzeń tych tularczy.

Byłem przez dwa tygodnie w Niemczech, ażeby odwiedzić tych ludzi, zobaczyć jak żyją oraz przekonać się o czym myślą i czego pragną. Przemierzyłem szlaki tularczy polskiego na przestrzeni 1875 mil. Niemal w każdej większej miejscowości na terenie Niemiec, przez które wiodła moja droga, począwszy od granicy holenderskiej, widać Polaków.

Gdyby chcieć w paru tylko słowach streścić wrażenia z tej podróży, to powiedziałbym, że pierwszym jest wrażenie tężyny polskiej, której nikt, ani nie jest w mocy zgłębić. Widok ludzi, którzy nieraz pięć i pół lat spędzili w niewoli, rozmowa z nimi — są krępujące. Ludzie ci w większości wypadków nie stracili nic ze swych walorów umysłowych z przed wojny, są pełni zapału i energii do pracy. Również ludzie, którzy byli na robotach przymusowych nie zgębniono. Potrafiliby oni typowym dla Polaków sprytem i zaradnością przetrwać i utrzymać się.

To jest wrażenie ogólne, górujące. Są na nim jednak pewne skazy, zwłaszcza o ile chodzi o młodzież, która zbyt wcześnie była zmuszona opuścić dom rodzicielski i jego wpływ wychowawczy. Młodzież naszą Niemcy specjalnie starali się deprawować pod względem moralności pleiowej. Dla przykładu wymienię oboz pracy w Blumenthalu, koło Bremy, gdzie przebywało około 900 chłopców i dziewcząt polskich do lat 19 zmuszonych mieszkać w izbach mieszanych, przy czym Niemcy nie żalowali alkoholu dla ofiar swych "doświadczeń".

Niejednokrotnie też niesłychanie trudne warunki mieszkania tępiły wrażliwość Polaków na to, co uchodzi, a co nie — spychając ich do poziomu życia ludzi prymitywnych. I tak dla przykładu przytoczę zdarzenie, które mi opowiedział jeden z oficerów łącznikowych. Pewnego dnia wizytując kwatery polskie, zapukał on do drzwi pokoju, w którym mieszkają dwa małżeństwa. Na pukanie odpowiedziano: "Proszę". Gdy wszedł, w izbie zastał taki widok: jeden ojciec kołysał dziecko, a matka prała, drugie zaś małżeństwo najspokojniej w świecie spełniało... obowiązki małżeńskie. Nikt — z wyjątkiem oficera łącznikowego — nie czuł się skrępowany tym widokiem.

Nie chciałbym być źle zrozumiany — nie twierdę, że są to objawy nagminne, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że lata spędzone przez Polaków w Niemczech w warunkach nieraz potwornych, zmuszających do odstępowania od zasad przyjętych i szanowanych, wywarły swe ujemne piętno, zwłaszcza na ludziach pracujących w fabrykach, po miastach.

Drugie górujące wrażenie z mojej podróży szlakami polskimi po Niemczech — to uczucie smutku. Smutku na widok tylu Polaków poniewierających się po obecnej ziemi, zdala od Kraju. Temu uczuciu trudno oprzeć się, nawet teraz, gdy się widzi Polaków w znanych warunkach bytowania. Ile pracy polskiej, ile kapitału życia Polski niepodległej, ile wysiłku jej szkół i doświadczeń, ile w ogóle dorobku polskiego zmarnowało się przez te lata i jeszcze zmarnuje się; ile wysiłku polskiego poszło na korzyść innych, a nie Polski.

To wszystko razem zabarwia uczucie rozsądnej dumy z tężyny Polaków uczuciem smutku, które przywodzi na myśl książkę Jana



Izba zamieszkała przez kilka rodzin wysiedleńców

Wiktor "Wierzbę nad Sekwaną". Tu tyle jest wierzb polskich nad Renem, Łabą, Wezerą, Ems...

W czasie działań wojennych, na drogach w Niemczech widziało się niekończące się strumienie Polaków idących pod prąd nacierających wojsk, wędrujących na Zachód. Dziś fala ta została zatrzymana. Ludność cywilna, tak zwani "D.P." /Displaced Persons/ zostali skupieni w jednych ośrodkach, byli zaś jeńcy wojenni, określanici tu "X.P.W." /Ex-prisoners of War/ w innych.

Polacy w obozach reprezentują wszystkie warstwy społeczne. Jest inteligencja, są robotnicy i chłopci, rzemieślnicy, kupcy i t.d. Niemcy i wojna wszystkich ich zniwelowały do jednego poziomu. Polacy ci pochodzą ze wszystkich dosłownie stron Polski... Cechuje ich duży patriotyzm, serdeczne przywiązanie do Kraju oraz zrozumienie położenia i spraw polskich. Młodzież zaś bez wyjątku gorąco pragnie znaleźć się w szeregach wojska polskiego, które jest uwielbiane.

Sprawami wyżywienia, zakwaterowania i najpilniejszych potrzeb tych ludzi zajmują się wojska okupujące dany okręg. Na czele ośrodków polskich stoją Polacy komendanci obozów, wybrani czy wyznaczeni z pośród b. jeńców lub samych wysiedleńców. Łączność między dowódcami brytyjskimi, względnie amerykańskimi, a obozami zapewnić mają oficerowie łącznikowi wyznaczeni przez rząd polski.

Tak wygląda zasadniczy schemat organizacyjny. Jego działanie — jak to w życiu zwykle bywa, a zwłaszcza w życiu tak zdeorganizowanym przez wojnę — zależy od osoby danego dowódcy alian-

ckiego, komendanta polskiego i polskiego oficera łącznikowego. Jeśli ci ludzie mają dobrą wolę, chęć do pracy oraz zmysł inicjatywy i umiejętność improwizacji — życie obozu układa się pomyślnie. Gdy jedno z ogniw tej organizacji zawodzi, powstają tarcia, nieporozumienia, odbijające się na warunkach życia rzesz wysiedleńców.

Na ogół Polacy spotkali się z dużą życzliwością i ze zrozumieniem ich doli ze strony Sprzymierzonych, przyczem Brytyjczycy wykazują większą znajomość czy wyczucie stosunków europejskich i spraw Kontynentu, a wśród nich spraw polskich, niż Amerykanie. Rzadko kiedy natrafiłem na ślady złej woli ze strony żołnierzy Sprzymierzonych. Wypadki takie zdarzały się czasem na terenie okupacji amerykańskiej, które tłómaczą się, moim zdaniem, niejednolitym charakterem narodowościowym szeregów amerykańskich. Opowiadano mi na przykład, że jeden z oficerów amerykańskich znalazł na terenie Niemiec swoich dziadków, których dotąd w ogóle nie widział — i w tych warunkach zmieniły się jego sympatie.

Pewne zadrażnienia wynikają też na tle zbyt pobłażliwego traktowania Niemców. I tak na przykład w Verdun, koło Bremy, gościna policjina dla Niemców jest 10,30 wieczorem, podczas gdy dla Polaków o godzinę wcześniej. Podobnie w obozie polskim w Ezel pod Kolonią przepustki udziela się Polakom /tylko na 5% stanu/ do godz. 5 popołudniu, kiedy Niemcy mają nieograniczoną swobodę ruchu. Tak samo trudno Polakom zrozumieć niejednokrotnie zdarzające się wypadki, że każą im pracować na dorywczych pracach pod

nadzorem policjantów niemieckich. Nie trzeba było chyba przechodzić tego wszystkiego, co Polacy przecierpieli od Niemców, ażeby zrozumieć ich uczucia w takich okolicznościach. Równocześnie Polacy słusznie uważają, że jako pierwsi — i do ostatka — sprzymierzeńcy w walce z Niemcami wywalczyli sobie oni, o ile już nie jakieś przywileje w stosunku do Niemców, to przynajmniej pewne prawa.

Również duże rozgoryczenie wśród Polaków wywołał rozkaz Amerykanów w Bremie, kiedy naszym ludziom kazano zrobić porządek na kwaterach, które poprzedniego dnia opuścili obywateli sowieccy.

Wydarzenia te są na szczęście dość odosobnione. Sądzę, że ustana one po pewnym czasie, gdy poszczególni dowódcy nabiorą większego doświadczenia wobec tylu nowych dla nich problemów i gdy zagadnienia te zostaną w końcu centralnie i jednolicie uregulowane.

Nie chciałbym, ażeby te tylko ujemne przykłady obrazowały stosunki amerykańsko-polskie na Kontynencie. Dlatego może będzie dobrze przytoczyć inny przykład mówiący o niejednokrotnie dużej serdeczności Amerykanów. Otóż — jak wiadomo — Niemcy nie pozwalali Polakom zawierać związków małżeńskich. Powstało więc wiele związków nie sankcjonowanych ani przez państwo, ani przez Kościół. Z chwilą nastania wolności ludzie ci zgłosili się do władz z prośbą o ulegalizowanie ich małżeństw. Śluby więc, i chrzciny, są w obozach polskich na porządku dziennym. Jednego dnia n.p. w obozie Mülheim koło Kolonii odbyły się 43 śluby. I tu Amerykanie wystąpili z miłą

inicjatywą urządzenia wesela. Przy jednym stole zasiadli oficerowie amerykańscy i polscy oraz 43 pary, z których jedna została przepisowo ubrana; panna młoda dostała białą suknię z welonem a pan młody — mundur wojskowy. Było wino i były mowy. Polacy zachowali to wydarzenie we wdzięcznej pamięci.

Obok czasem niewystarczającego wyżywienia wszyscy Polacy w obozach cierpią wielki głód — książki, gazety, słowa polskiego. Nigdy w czasie mego pobytu w kilkudziesięciu obozach polskich nikt nie prosił mnie o coś do zjedzenia, natomiast pytanie: — "Czy nie ma Pan gazety polskiej" było nagminne.

Nikt w obozach polskich nie może zrozumieć, dlaczego "Polska Walcząca", "Dziennik Żołnierza" albo inne pismo polskie nie dociera do nich z Londynu. Zakaz władz alianckich jest niepojęty. Nikt w obozach nie chce i nie potrzebuje materiałów propagandowych. Tych ludzi nie potrzeba przekonywać, uświadamiać, ale trzeba ich informować. Do tego mają oni prawo. Polacy ci, przez tyle lat pozbawieni przez Niemców słowa polskiego, byli pewni, że z nastaniem wolności zanurzą się w słowie polskim, że nareszcie z właściwego źródła dowiedzą się historii lat ostatnich i o wysiłku wojennym Sprzymierzonych i Polski.

W niektórych obozach ludzie radzą sobie jak mogą, wydając własne pisma powielane. Z inicjatywą wystąpili tu przeważnie dziennikarze z czasów przedwojennych lub z podziemnej prasy krajowej. Ale nawet i ta inicjatywa natrafia na różne nieprzewidywane trudności. I tak n.p. "Nasza Gazetka", którą potrafili wydać Polacy z obozu kaźni w Belsen-Bergen czwartego dnia wyzwolenia, przestała wychodzić, ponieważ z biura redakcyjnego zabrano jedyną maszynę do pisania — dla tworzącego się ośrodka sowieckiego.

Sprawa pisma polskiego dla tularczy polskich w Niemczech jest sprawą palącą. Zaspokojenie głodu słowa polskiego to dziś prosty obowiązek — czysto ludzki.

Dwa zagadnienia zawisły nad Polakami w Niemczech, które dotychczas nie zostały rozwiązane. Jest to zagadnienie powrotu do Kraju i zagadnienie pracy. Zdaje sobie sprawę z trudności ich rozwiązania. Są one bardzo skomplikowane i zależne od wielu czynników politycznych. Pragnę je tu tylko zasygnalizować dla przedstawienia pełnego obrazu życia wysiedleńców polskich na terenie Rzeszy Niemieckiej.

Do Kraju oczywiście chcą powrócić wszyscy, ale też wszyscy prawie zdają sobie sprawę z obecnej sytuacji na ziemiach polskich. Co do tego nie ma złudzeń. Ludzie jednak bardziej niecierpliwi, a zwłaszcza ci, którzy pozostawili swe najbliższe rodziny w Kraju rwą się do powrotu zaraz, uważając to za swój obowiązek ojcowski czy małżeński. Wśród nich działa propaganda obca wykorzystując te nastroje dla swych celów.

Większość Polaków w Niemczech jest bez pracy, bez zajęcia. Ten stan przedłużając się, ujemnie wpływa na ich ducha. Bez pracy człowiek długo nie wytrwa. Pewne próby rozwiązania tego zagadnienia przedsięwzięto m.in. na terenie Dywizji Pancerniej, gdzie w wysiedlonych miejscowościach niemieckich osadzono Polaków dając im pracę na roli i w warsztatach szewskich, krawieckich i t.p. Brak jednak surowców i narzędzi nie pozwala na właściwe postawienie sprawy. Pewne podobne próby przedsięwziął również jeden z oficerów łącznikowych na terenie powiatu Euskirchen koło Kolonii, gdzie Polacy albo stworzyli nowe małe placówki gospodarcze albo przejęli dawne niemieckie.

Niestety te wszystkie rozwiązania są dorywcze, chwilowe, podczas gdy zagadnienie pracy dla Polaków wysiedlonych do Niemiec wymaga ogólnego załatwienia o charakterze bardziej stałym.

WITOLD LEITGEBER



Sala szkolna w dawnych koszarach niemieckich

Dywizjon „Obrońców Warszawy”

Najpiękniejsze loty bojowe

Majora L. znam od dawna: pamiętam go, jako pilota rezerwy, który odbywał loty treningowe w pułku Krakowskim, i jako pilota sportowego, który brał udział w licznych zawodach lotniczych. Tu, w W. Brytanii, latał początkowo na „Wellingtonach”, w Dywizjonie Ziemi Śląskiej. To było w roku 1941, kiedy ten dywizjon należał jeszcze do grupy bombowej.

Wracając z pewnej wyprawy nocnej nad kontynent europejski, major L. musiał wodować przed osiągnięciem brzegów Anglii. Wraz ze swą dzielną załogą spędził wówczas całą dobę na łodzi gumowej. Samoloty wysłane na poszukiwania nie znalazły rozbitek, a jakkolwiek widzieli oni z daleka brzeg, to jednak spychani prądem, nie mogli się do niego zbliżyć. O kilka mil od tego brzegu groziła im śmierć na wzburzonym morzu. Uratowali się dzięki sygnałom, które wysyłali w kierunku lądu, przy pomocy odbicia promieni zachodzącego słońca w blaszanej puszcze od konserw. Sygnały te zauważono wreszcie z brzegu i wysłano łódź ratowniczą — po wyczerpaną z zimna i choroby morską załogę.

Drugą kolejkę lotów bojowych major L. odbył w tym samym dywizjonie, w Grupie Obrony Brzegowej. Były to loty na patrolowanie Atlantyku i Zatoki Biskajskiej; loty na zwalczanie okrętów podwodnych, które zagrażały blokadą W. Brytanii.

I tu major L. odniósł wraz ze swą załogą, jedno z największych zwycięstw w nierównej walce przeciw pięciu myśliwcom niemieckim, którzy zaatakowali powolnego, stosunkowo słabo uzbrojonego „Wellingtona”, zdala od bazy. Podczas tej rozpaczliwej — według wszelkiego prawdopodobieństwa, beznadziejnej walki — polska załoga zestrzeliła dwóch Niemców, zdołała ująć trzech pozostałych, i — co więcej — wezwać własnych myśliwców, którzy zestrzelili tych pozostałych. Major L. doprowadził postrzelaną maszynę do lotniska i wylądował szczęśliwie, mając na pokładzie kilku rannych.

Potem był instruktorem na kursie „zgrzywanie załóg”, przygotowując je do pracy bojowej. Ale to zajęcie wydawało mu się zbyt spokojne, więc prosił o przeniesienie do Dywizjonu Ziemi Pomorskiej, który z baz włoskich, latał do Pol-

ski z bronią, z amunicją i z żywnością.

Naturalnie — były trudności: żaden dowódca nie zgodzi się łatwo na odejście dobrego pilota i wytrawnego instruktora. Ale w końcu major L. postawił na swoim.

— „W sam czas — powiada. — W pierwszych dniach sierpnia roku 1944”.

W Dywizjonie Obrońców Warszawy /Ziemi Pomorskiej/ major L. wykonał ponad 30 lotów; z tego nad Polskę — 16, nad Warszawę zaś — 5.

— „Lataliśmy zawsze tylko w nocy — opowiada. — Zwykle w noc księżycową. Startowaliśmy pojedynczo i leciliśmy indywidualnie nad cel. Pierwsze takie loty są szczególnie trudne dla pilota bombowego, który przyzwyczaił się do zadań na dużej wysokości. Tam — poczynając od Karpat — trzeba było lecieć nisko, żeby utrudnić niemieckiej obronie przeciwołotniczej wykrycie samolotu. Lot w nocy tuż nad ziemią, przy wielkiej szybkości wymaga od całej załogi wielkiej czujności. Pilot musi uważać, aby się nie zderzyć z jakąś przeszkodą; żeby nie wpaść na drzewa, nie zawadzić o wzniesienia, czy też wieże kościołów. Nawigator musi czytać mapę bardzo sprawnie i szybko, żeby się nie zgubił. Radiotelegrafista musi znać wszystkie stacje, ich fale i zasięg; musi stale być na podsluchu. Strzelcy śledzą niebo i horyzont: nie wolno dać się zaskoczyć myśliwcom niemieckim, bo to prawie pewna śmierć... Przydała mi się tam praktyka z patrolów nad Biskajami: wtedy było podobnie, tyle że w dzień”.

Trasa lotów nad Warszawę była za każdym razem inna, zwłaszcza nad Polskę. Niejednokrotnie, załogi przelatywały nad linią walk niemiecko-rosyjskich i widziały wymianę ognia artyleryjskiego obu stron. Trzeba było omijać miasta, węzły kolejowe i fabryki, które broniły się artylerią przeciwlotniczą, dość silnie. Ale czasem okoliczności zmuszały załogę do przelotu w pobliżu miast, które zresztą nie były całkowicie zaciemnione.

— „Leciliśmy raz tuż obok Krakowa — mówi major L. z widocznym wzruszeniem. — Pamięta pan dojazd tramwajem do cementarni Rakowickiego, jak się jechało na lotnisko? ... Widziałem ten cmen-

tarz, i tramwaj oświetlony, i nawet światła w oknach domów... Byłem może ze sto, czy dwieście metrów od ulicy Krakowa. Tak blisko... Rozumie pan? — Tak blisko!...”

Nie powiedział nic więcej o tym przelocie w pobliżu rodzinnego miasta. Może trudno mu było mówić, bo przecież słowa nie oddadzą tego, co działo się wtedy w sercach załogi.

— „To, rozumie pan — dodał — jest inny, zupełnie inny rodzaj latania, taki lot nad Polskę”.

— „Kiedy Rosjanie zaczęli posuwać się na zachód — powiedział po-

chwili — rosła wśród nas nadzieja, że nasza pomoc Warszawie nie pójdzie na marne; że Warszawa się utrzyma. Do końca zresztą nie traciliśmy nadziei; do końca lataliśmy, żeby im pomóc. I, wie pan, to były najpiękniejsze loty bojowe: nad własnym krajem; nad terenem, który znaliśmy tak dobrze... Przy dobrej pogodzie, przy księżycu widać było doskonale krajobraz: miasteczka, wsie, pola i lasy, i nasze polskie drogi z wierzbami... To wszystko, do czego człowiek tęskni; co pamięta; do czego chciałby powrócić...”

znam dobrze tamte przejścia w górach, i pchamy się poniżej wierzchołków, wązami i przełęczami”.

— „Ale jeszcze przed Nowym Sączem dopadł nas myśliwiec niemiecki — wtrąca pilot. — Trzeba przyznać, że strzelał nieźle, bo nam zrobił ponad setkę dziur w kadłubie. A jak otworzył ogień z działek, to wywalił w skrzydłach trzy takie otwory, że dwaj ludzie na raz mogliby się przez każdy z nich przecisnąć. Spadochrony też nam podziurawił, więc już nie było innej rady, tylko musieliśmy dolecieć. No i lecimy pomiędzy tymi górami; Staszek mnie pilnuje, kręci, że ledwie sterów starczy, żeby nie wpaść na jakąś turnię, a maszyna wyżej ani rusz nie wchodzi. I tak od tej Dukli, aż do Adriatyku mnie przeprowadził, a potem już prosto nad morzem — do lotniska”.

— „Najgorsza bieda była z lądowaniem — mówi nawigator. — Wypuściliśmy podwozie, ale klapy nie chciały się otworzyć, więc szybkość dobiegu była bardzo duża. Gazu nie można zamknąć; maszyna rozpedzona przy schodzeniu nad ziemię, a hamulce nie działały... Janek wyłączył iskrowniki, ale to nie nie pomogło: przy tej szybkości maszyna mogła się toczyć ze 20 kilometrów po gładkiej nawierzchni...”

— „Ale przecież jakoś wylądowaliście?” — zapytałem.

Załoga spojrziała po sobie z uśmiechem.

— „Wylądowaliśmy — odrzekł radiotelegrafista. — Wylądowaliśmy u końca *runway'u*, tam gdzie lotnisko urywa się strumą przepaścią nad samym brzegiem morza. Pilot po prostu kopnął ster boczny, a nasz „Liberator” skreślił w miejscu, wyrzucił skrzydłem o ziemię, wylał dwa silniki, rozpeł się w połowie i tak wyprószył nas z siebie w promieniu stu metrów, a dopiero potem się zapalił. No, ale my wyszliśmy cało”.

Zapytałem jeszcze, co mają zamiar robić dalej; teraz — gdy wojna się skończyła.

— „Latać — powiedział pilot. — Staszek ma opracowane wszystkie możliwe trasy i kursy do Polski; do wszystkich polskich miast. Tam jest głód, choroby, nędza... Tam trzeba dostarczyć wszystkiego; trzeba ich ratować. Niech nam tylko pozwolą tam latać; choćby co dnia — dwa razy na dobę. My poddamy. Niech tylko pozwolą...”

PORUCZNIK HERBERT

Od Dukli po Adriatyk

Kapitan Jan jest małym, młodym; powiedziałbym nawet — mrukliwym. Za loty bojowe nad Warszawę otrzymał angielski *Distinguished Flying Cross*, ale utrzymuje, że to przez pomyłkę. Gdyby nie jego załoga, w ogóle nie można by z tego pilota wyciągnąć. Właśnie od załogi kapitana Jana dowiaduję się, że ma on za sobą 55 lotów bojowych, z czego 15 nad Polskę, a 6 nad Warszawę.

Wyprawa, za którą Jan otrzymał wysokie odznaczenie angielskie, odbyła się 27 sierpnia, przy dobrej pogodzie. Wystartowali przed zachodem słońca i szli wysoko, aby uniknąć silnych zapór artyleryjskich nad Dunajem. Przelecieli nad tą rzeką już w nocy i dotarli do Karpat, skąd lotem koszącym — na paręset metrów nad ziemią — weszli nad Polskę.

— „Mieliliśmy kilka wyznaczonych kursów wlotu nad Warszawę — opowiada kapitan. — Leciliśmy bardzo nisko, bo artyleria niemiecka strzelała do nas z każdego skweru, z parków i przedmieść. Chroniliśmy się przed jej ogniem, możliwie najniższą wysokością, osłaniany przez wyższe budynki i wieże kościelne.

Tak się złożyło, że przybyliśmy nad cel w samym środku całej wyprawy, kiedy Niemcy już byli zaalarmowani. Nad miastem opadały wolno na spadochronach ich rakietki oświetlające. Było ich chyba ze dwieście. Jasno, jak w dzień, a my widoczni doskonale. Przedewszystkiem wśród tej iluminacji nad Marszałkowską od strony Placu Zbawiciela, raz po raz smagani pociskami z ziemi.

Zobaczyłem sygnały placówki Armii Krajowej na wysokości ulicy Śniadeckich i tam dokładnie

zrzuciliśmy ładunek, poczem — nad Dworcem Głównym — skreśliłem gwałtownie w stronę Towarowej, chcąc uniknąć ognia zaporowego, który szedł zdaje się z Saskiego Ogrodu. Ale spóźniłem się o sekundę, czy może o dwie: maszyną targnęło silnie i usłyszeliśmy łomot odłamków po skrzydłach i po kadłubie. Kabinę wypełnił swąd spalenizny. Dwa silniki zakrzuszyły się nagle i stanęły. Jeden z nich objął płomienie, przycisnął i znów błysnął. To olej płonął w karterze. Chciałem dodać gazu, żeby na pozostałych dwóch silnikach jak najprędzej odejść z nad miasta, ale — dzwignienka otwierająca przepustnicę została mi w ręku... Odstrzelili ją po prostu... Może mi pan wierzyć, albo nie, ale tak było: odstrzelili mi rączki od gazu!”

Wszyscy potwierdzają ten nadzwyczajny wypadek. Na domiar złego, przewody zostały powyginane przez pociski i w żaden sposób nie można było ani dodać gazu, ani go zmniejszyć. Samolot leciał na dwóch silnikach przy średnich obrotach, co wpływało na znaczne zmniejszenie jego szybkości i nieomal uniemożliwiało wznoszenie się. Tak oddalali się od Warszawy, usiłując nabrać choć tyle wysokości, aby można było skakać ze spadochronami.

— „Mijaliśmy Kraków na wysokości 4.000 stóp — opowiada nawigator tej załogi. — Ale Janek powiada, że już wyżej nie wyciągnie, bo maszyna się ślizga na niebezpiecznych obrotach. O skakaniu nie można było myśleć, bo okazało się, że mamy rannego, który wysokość nie zdoła, a nawet jeżeli mu pomożemy — nie wylądować żywy. Więc obliczyłem kurs na Duklę, bo

aby walczyć w cichości ducha i mo- wy — o świętą sprawę, a innym zostawić staranie o resztę. Słusznie. Ale czy dawanie informacji jest czymś złym? Zwłaszcza tym, którzy się tym interesują — a jest takich niewielu. Uważam, że obowiązkiem każdego Polaka, żołnierza czy cywila — jest robienie wszystkiego, co jest w jego mocy, aby sprostować mylnie lub wręcz wrogie opinie, na czym tak bardzo pewnym czynnikiem zależy.

Pewna część społeczeństwa angielskiego ma w sobie pewien kompleks „starej panny”. Nie lubi widzieć nagłej prawdy. Chce, aby ich piękne ideały znalazły praktyczne zastosowanie, ale gdy się to nie sprawdza — gotowe jest przyjąć bardzo złudne pozory, zakrywające tę prawdę. Chętnie w nie wierzy, a sumienie ich jest uspokojone.

Nam trzeba zdzierać ten plaster z rany. To może i musi robić każdy z nas. Kto tylko na tyle włada językiem angielskim, by móc wypowiedzieć to, co myśli. Nie mamy potrzeby się wstydzić. I nie trzeba nam tej dziwniej jakiejś pokory. Dłużnikami nie jesteśmy i śmiało możemy każdemu spojrzeć w oczy. Raczej ktoś inny jest wobec nas dłużnikiem. Bo my daliśmy wszystko, więcej niż wszystko — dla wspólnej sprawy. Nie dostając w zamian nic. A za tę często wypominaną gościnę płaciliśmy z miejsca — i to więcej niż droga.

Zdaje się, że — jak słusznie w tej samej „Polsce Walczącej” /numer wielkanocny z tego roku/ zaznaczono — przez te pięć lat straciliśmy zdolność oburzania się na niektóre rzeczy, straciliśmy zdolność właściwej reakcji, przestaliśmy odczuwać cały ogrom tego cośmy stracili. Te potworne niesprawiedliwości, zamiast obudzić w nas jakieś właściwe i twórcze reakcje — budzą tylko jakiś niejasny żal i ból i parę mniej lub więcej ubolewających delikatnych artykułów.

Nie mamy potrzeby wstydzić się czegośkolwiek. Bo myśmy nie robili kompromisu z ideami. Bo za te idee daliśmy wszystko — i słusznie możemy domagać się sprawiedliwości.

Stanisław Schatzel /RAF/

LIST O LWOWIE

Szanowny Panie Redaktorze,

Tak się złożyło w mojej wędrówce życiowej, że zobaczyłem Lwów dopiero w czasie obecnej wojny. Jak każdy Polak, bez różnicy gdzie się rodził, kocham to miasto. Sam jestem rodem z Poznania. Spędziłem tam moje lata młodości, tam uczyłem się, co to jest Ojczyzna, Polska, co to jest wolność. I że trzeba kochać „Lwów”.

Nigdy przedtem nie zastanawiałem się, czy ja Lwów naprawdę kocham. Nikt mnie o to przedtem nie pytał. Aż kiedy po ucieczce z terenu Rosji Sowieckiej, w marcu 1940 r. znalazłem się we Lwowie. Jeszcze nie zdążyłem rozejrzeć się, jak ten kochany Lwów wygląda, a już po dwóch dniach, wpadłem w ręce N.K.W.D. i zostałem osadzony w słynnych Brygidkach.

Nie długo jednak miałem możliwość zastanawiania się w tym niegościnnym miejscu nad niegościnnym przyjęciem mnie za pierwszym wjazdem do Lwowa. Po szesnastu dniach, nawiałem.

Czekając w „ogonku” za chlebem, miałem pierwszą w życiu sposobność przysłuchać się prawdziwej gwarze i dowcipom baciarni lwowskiej.

Przedem stała Jadzia — śliczna o niebieskich, dużych oczach blondyneczka. Uśmiechnęła się przyjemnie do mnie: — Ta, oswobodzili nas towarzysze — zauważyła. Takie było nasze poznanie.

Potem odbywałem z nią długie wycieczki po Lwowie i okolicy. Gródek, Kleparów. Rzeka której nie ma, ale płynnie przykryta. Akademicka, pod teatrem Babacek i spowiadanie koni. Chyłowska góra. Wysoki Zamek.

I właśnie ten Zamek, wysoki owsem, ale gdzie zamek? Jesteśmy pod samym wierzchołkiem góry. Mała polanka, u stóp, jak na dłoni — Lwów. Tak, stąd można dopiero zobaczyć całą jego malowniczość. Wieże kościołów, Ratusz, ogrody... Przez chwilę byłem tak oczarowany widokiem, że nie mogłem przemówić słowa.

— Piękny Lwów prawda? — przerwała Jadzia. — Tak, piękny! — Czy ty także tak kochasz Lwów jak my

kochamy. — Czy kocham? Jadziu, przecież Lwów jest nasz, nasz, polski — Słuchaj, ty nie długo wyjedziesz, ja tutaj zostanę. O jedno cię proszę, pamiętaj o nas tu oswobodzonych. My chcemy Lwowa i Polski!

Alojzy Pucek /RAF/

O „KOMPLEKSIE WSTYDLIWOSCI”

Szanowny Panie Redaktorze, Przerzucając parę dni temu stare, bardzo stare numery „Polski Wal-

Skrzynka pocztowa

czajcej”, natknąłem się w artykule „Bez blackoutu” p. W. Budzyńskiego na radę daną żołnierzom, aby nie rozmawiali o polityce z Brytyjczykami, a szczególnie o pewnym drażliwym, ale ściśle dotyczącym nas jej aspekcie. Próby nawiazania rozmowy na ten temat radzi p. Budzyński zbywać zdaniem: „I am not a politician, I am a soldier only”.

Być może było to słuszne — kiedyś. Żołnierz nie powinien uprawiać polityki. Od polityki jest rząd, od dawania informacji — jest Minister-

stwo Informacji i Dokumentacji.

Będąc z całym szacunkiem dla p. Budzyńskiego i jego pracy, nie mogę jednak oprzeć się pewnemu wrażeniu. Zresztą to nie odnosi się wyłącznie do tego artykułu. Jest to jeden z fragmentów naszej postawy. Postawy, którą nazwałbym „kompleksem wstydlivosti”. Wstydlivosti mówienia i dyskusowania o naszych sprawach, o problemie polsko-rosyjskim, o naszych stratach, o wykorzystaniu nas.

Radzono nam przed dwoma laty,

Poradnik żołnierski

St. szer. Marian M.

Pyta Pan czy i jak, oraz z którymi obozami Polaków w Niemczech można korespondować. Na razie korespondować można przez pocztę brytyjską jedynie z 9-ciomą obozami:

I. Stalag VI Oberlangen — P/49 A. Polish Forces B.L.A. albo: Polish Women's Camp Niederlangen Nr. 5, Lathen Camp V. 2nd Canadian Corp, 1st Army Canadian Army B.L.A.

II. Stalag IX C. Blankenheim i Marburg: Polish Women's Army Camp 142 AAA Bn A.P.O. 1st U.S. Army Burg /Hessen-Nassau/.

III. Oflag X C. Lubek X.P.W.: Polish Camp Oflag X.C. Lubek Schwartau B.L.A.

IV. Oflag i Stalag X.B.: Sandbostel — X.W. Polish Camp Stalag X.B. Sandbostel B.L.A.

V. Stalag XI.B. Fallingbostel: X.P.W. Polish Camp Stalag XI.B. Fallingbostel B.L.A.

VI. Stalag XI.A. Altengrabow X.P.W.: Polish Camp Stalag XI.A. Altengrabow B.L.A.

VII. Oflag VII.A. Murnau X.P.W.: Polish Military Camp Murnau A.P.O. No. 887 U.S. Army.

VIII. Oflag B I B. Dossel bei Warburg: A.P.O. 230 Polish Officers Camp U.S. Army.

IX. Stalag VI.J.: Allied Transit

Camp for X.P.O.W. Polish Section, Burghorst bei Burgstein Furt Munster 2nd B.A. B.L.A.

Ochotnik z Ameryki Północnej.

Jako inwalida, ma Pan wszelkie podstawy do uzyskania zwolnienia z Polskich Sił Zbrojnych i odesłania do Stanów Zjednoczonych. Na razie jednak nie ukazały się jeszcze żadne zarządzenia regulujące te sprawy. Do czasu ukazania się odpowiednich zarządzeń, które wymagają uzgodnienia z Władzami Brytyjskimi, będzie Pan musiał pozostać w szeregach Polskich Sił Zbrojnych.

Chor. M.P.

Ułatwienie rewindykacji pieniędzy i kosztowności, które zostały Panu zebrane przez Władze Włoskie w czasie pobytu w obozie na terenie Włoch jako jeńcowi z kampanii afrykańskiej — nie jest łatwe. Proszę złożyć podanie drogą służbową do Szefa Wydziału Dobrobytu Żołnierza Dowództwa II Korpusu, który bezpośrednio, lub przez placówki konsularne zwróci się do Władz Włoskich o zwrot Pana depozytów. Do podania proszę dołączyć oryginalny kwit pozostawiając sobie uwierzytelniony odpis.

Por. G.F.

Urlop 6-ciodniowy przysługuje Panu za każdy czteromiesięczny okres służby, t.j. w ciągu roku 18 dni, a po-

nadto jeden urlop okolicznościowy.

W związku z każdym urlopem może Pan otrzymać *warrant* kolejowy na bezpłatny przejazd tam i z powrotem — razem cztery *warranty* na rok. *Warranty* kolejowe niewykorzystane w ciągu roku kalendarzowego nie mogą być wydane w następnym roku.

Urlopy lecznicze i inne nie mogą być łączone ze względów służbowych na rachunek urlopów wypoczynkowych.

St. Och.

Piechota Morska należy organizacyjnie do Marynarki /ang. *Royal Marines*/. Bryt. t.zw. „*petty officer*” nie jest oficerem, odpowiada on stopniem bosmanmatowi w polskiej Marynarce Wojennej /plutonowy w wojsku lądowym i lotniczym/.

P. Marian M.

Po odkomenderowaniu na studia przysługuje Panu za czas przejazdu ze stałego m.p. do miejsca studiów oraz z powrotem do stałego m.p. tylko bezpłatny przejazd kolejowy oraz zryczałtowany zwrot kosztów przewozu bagażu osobistego.

Pchor. Z — ski.

Tylko żołnierze 1 Dyw. Panc. mają prawo nosić czarne krawaty na terenie Zjednoczonego Królestwa do czasu wyposażenia ich w inne, koloru khaki.



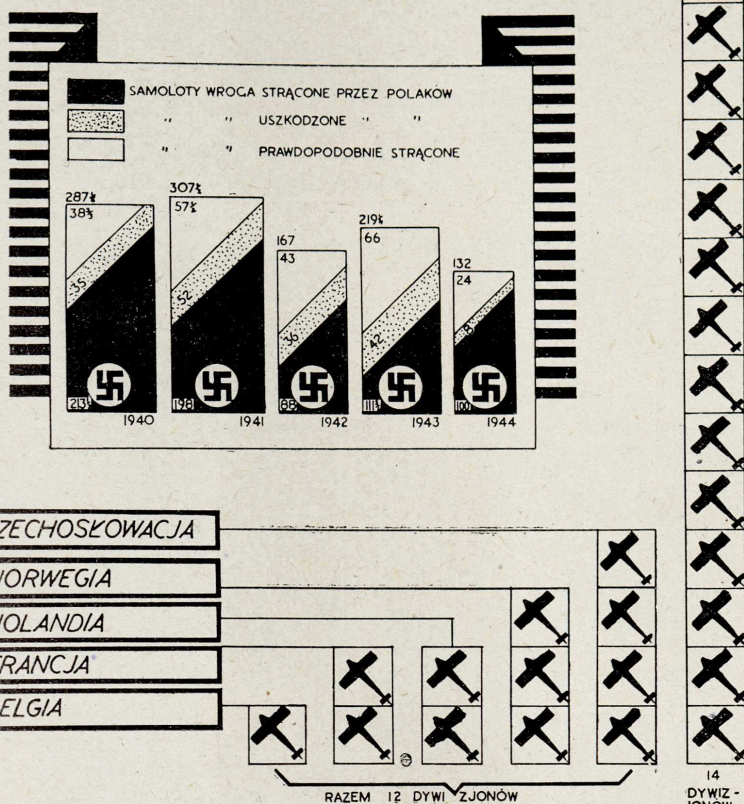
TOWARZYSZ BRONI



Bitwa o Wielką Brytanię

Rada Jedności Narodowej

POLSKA



Dwa wykresy obrazujące działalność Lotnictwa Polskiego w W. Brytanii: pierwszy naocześnie pokazuje ilość samolotów nieprzyjacielskich zniszczonych przez polskich lotników w ciągu pięciu lat, drugi porównawczo przedstawia stosunek liczby naszego lotnictwa i innych narodów kontynentu

Niezależnie od formowania lotnictwa polskiego we Francji, na podstawie umowy z dnia 4 stycznia 1940 roku — o czym mówiliśmy w poprzednim „Towarzyszu Broni” — 50 procent całości personelu, zebranego we Francji, odeszło na przeszkolenie do Wielkiej Brytanii.

Lotnicy ci, w najgroźniejszej chwili wojny, przyczynili się wybitnie do zażegnania niebezpieczeństwa. Wzięli udział w decydującej Bitwie o Wielką Brytanię. Był to czas, gdy Francja kapitulowała, i Wielka Brytania stała samotnie w obliczu upojonego triumfem wroga. Z Wielką Brytanią współdziałała wówczas Polska, najwcześniej najechna przez Niemców.

Po upadku Francji zamiarem Hitlera było opanowanie nieba nad wyspami brytyjskimi, a następnie: pobicie samotnie opierającej się Wielkiej Brytanii. Jednak

zadanie poruczone Luftwaffe nie udało się. A nie udało się również i dlatego, iż obok Królewskiego Lotnictwa było się i nasze, polskie, znaczone białoczerwoną szachownicą.

Kapitulacja Francji nastąpiła w czerwcu 1940 roku. Niemieckie ataki lotnicze, kierowane z coraz większą furją, rozpoczęły się w lipcu. Natarzenie ich wzrastało. Nie dały jednak one spodziewanych wyników, i wyczerpały się w październiku.

W pamiętnym lipcu walczyło z wrogiem na niebie brytyjskim czterech polskich pilotów myśliwskich. Byli oni organizacyjnie przydzieleni do dywizjonów angielskich. W sierpniu — liczba przydzielonych do walki Polaków wzrosła do 46. W międzyczasie, gorątkowo przeszkalaną polskie dywizyjony myśliwskie, które weszły do akcji pod koniec sierpnia. Zapamiętajcie sobie na zawsze nazwy

wymienionych dywizjonów: 302 Dywizjon Poznański, i 303 Dywizjon imienia Tadeusza Kościuszki.

Walki polskich dywizjonów przypadają na okres najbardziej natężonego „Blitzu”. Najgorętsze walki toczyły się we wrześniu. Rekordowymi dniami zdobyczy dla Polaków były: 11, 15 i 26 września. 11 września Polacy zestrzelili 18 i pół samolotów. 15 września — 26 samolotów. 26 września — 15 samolotów. 26 września — 48 procent ogólnej cyfry zestrzelonych samolotów przypadło Polakom.

Łącznie w czasie trwania „Battle of Great Britain” — „Bitwy o Wielką Brytanię”, polscy piloci niszczą napewno 220 maszyn nieprzyjacielskich, prawdopodobnie — 45, a uszkodzają — 32. Kilku Niemców z obsługi Luftwaffe zostaje raz na zawsze wyłączonych z akcji wojennej. Ponosimy straty własne następujące: poległych pilotów 32, zaginionych 2, a rannych 17.

Zdaniem wielu — Bitwa o Wielką Brytanię była rozstrzygającym momentem wojny. Należała ona do bitew tego typu, które nie mogą być przegrane. I — Bitwa o Wielką Brytanię przegrana nie została. A do jej wygrania — przyczynili się w poważnym stopniu piloci polscy, biorący po raz pierwszy od opuszczenia domu rodzinnego zapłatę na śmiertelnym wrogu niemieckim za najechnie spokojnego Kraju, i niszczenie go ogniem z powietrza.

Spośród sojuszników, których w roku 1940 Wielka Brytania miała u swego boku, tylko Polacy wzięli czynny i wydatny udział w Bitwie o Wielką Brytanię. Nie tylko krew brytyjska, ale i krew polska przelana została dla osiągnięcia tego zwycięstwa — z wrotnego punktu w gigantycznych zapasach wojennych.

Trudno dzisiaj w słowach odtworzyć te czasy z przed lat pięciu. Ludność przylegała do głośników radiowych, z biciem serca wyczuwając wyniki dnia. Żołnierze polscy, przebywający w pierwszych obozach wojska w Szkocji — całym sercem jednoczyli się z kolegami z lotnictwa. Czuło się wagę i doniosłość przeżywaną chwilę. Rozumiało się, że tej Bitwy przegrać nie wolno. I ogarniała duma, iż w historycznych zapasach — po raz drugi poza Krajem zwycięsko szumią polskie skrzydła i warczą polskie śmigła.

Szkockie okręgi wyborcze

Jako wojenni goście zaprzyjaźnionego kraju jesteśmy zainteresowani wyborami, których wyniku oczekuje ludność Wielkiej Brytanii, a więc i Szkocji.

Wybory, odbywane w tym kraju — cieszą się jak najrzetelniejszą opinią. Ich wynik jest niewątpliwie wyrazem rzeczywistych nastrojów społeczeństwa, chociaż nie ma tutaj zasady proporcjonalności głosów. Wyborca głosuje na nazwiska.

Kraj dzieli się na okręgi wyborcze. Podział oparty raczej na geografii i warunkach naturalnego ku sobie ciążenia miejscowości. W środkowym pasie szkockim okręgi tłoczą się wzajemnie. Na północy — okręgi wyborcze obejmują nieraz i dwa hrabstwa.

Wielkie miasta są wewnątrz podzielone na okręgi wyborcze. Edinburgh ma takich okręgów 5, niezależnie od Portu Leith, będącego osobnym okręgiem. Glasgow obejmuje aż 15 okręgów. Miasto Dundee stanowi wyjątkowy okręg dwumandatowy. Istnieje poza tym jeden okręg eksterytorialny — Szkockie Uniwersytety, który wybiera łącznie 3 posłów do Izby Gmin.

Rozleglejsze hrabstwa dzielone są na mniejsze okręgi wyborcze. Miasta o pokątniejszej liczbie

ludności — stanowią samoistne okręgi wyborcze. Przykładem Fife-shire. Dzieli się na: East Fife i West Fife, jak również na miejskie okręgi wyborcze Dunfermline i Kirkcaldy.

Rozległe, lecz słabo zaludnione hrabstwo Perth podzielone jest na okręg miejski Perth, oraz na dwa inne okręgi. Aberdeenshire dzieli się na trzy okręgi. Natomiast, dwa najbardziej na północ wysunięte hrabstwa: Caithness i Sutherland tworzą pospolu jeden okręg wyborczy.

Porównując nastroje wyborcze w tym kraju, z nastrojami i agitacją wyborczą w Polsce — nie możemy nie podkreślić, iż tutaj namiętności wyborcze kierują się raczej ku zagadnieniom programowym i zasad. Nie ma tutaj moralnego poniżania przeciwnika, aczkolwiek walka wyborcza jest ostra. Niekiedy bardzo ostra.

Procedura wyborcza jest bardzo prosta, i nie spekuluje na pomyłkach wyborczych, wynikłych z trudności rozumienia przepisów.

Kiedy powrócimy do Kraju ojczystego, to — mając dzisiaj szeroko otwarte oczy — postaramy się, ile tylko będziemy w stanie, przyszczepić na grunt polski praktykę i zasady demokracji brytyjskiej.

Wrzesnia

Siedem mil od Poznania ku Warszawie leży miasteczko Wrzesnia. Schludne ono i czyste. Naokoło niego równina; uprawne pola, poprzecinane szosami, wystrzelającymi z miasteczka, jak promienie; szosy, wysadzone równiutkimi owocowymi drzewami. Poza łanami zbóż i kwieciami drzew nie przysstraja się tam ziemia wiosną nieczym niezwykłym...

Jedyną dumą miasteczka był doniedawna widny zdaleka pomnik powstańców, poległych na polach sąsiedniej wsi Sokolowa. W 1848 roku odparto tam zwycięsko pruskich żołnierzy, zlewając obficie krwią bojowisko. Dziś jest drugą dumą Wrzesni inny pomnik w samym mieście.

Oto idąc cichą ulicą Kościelną, zobaczysz na niedużej, piętrowej kamienicy tablicę z napisem: „Polacy! Nie zapomnijcie nigdy, że czasami niewoli wróg odwieczny katołwał tutaj dzieci wasze za ich gorące przywiązanie do wiary i miłości ojców. 1901 — 1926”. Co to znaczy? Tradycja mówi, że za dawnej niepodległej Polski dzieci chłopcy — zbierali i podawali kule Czarnieckiemu ku obronie Częstochowy. Tak niedawno za nowej, już wolnej Polski dzieci — chłopcy i dziewczynki — bronili krwią kresowego Lwowa. Tu, we Wrzesni, za czasów niewoli w 1901 roku, bronili dzieci swym cierpieniem polskiego pacierza...

/z pism Bernarda Chrzanowskiego/

Z miejsc postoju

Dnia 30 czerwca 1945 roku w Centrum Wyszczolenia Łączności w Szkocji odbyło się w obecności Dowódcy Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii gen. Janusza Głuchowskiego, tradycyjne święto łączności, obchodzone w Polsce przez pułk radiotelegraficzny na Powązkach w Warszawie.

Święto łączności w Szkocji zgromadziło żołnierzy Centrum, delegacje Jednostek łączności z terenu Wielkiej Brytanii, jak również przedstawicieli Towarzystwa Szkocko-Polskich z Dundee, St. Andrews, Auchtermuchty, Falkland i Ladybank, provosta miejscowości, w której znajduje się obóz Centrum i oraz lokalnego korespondenta prasy szkockiej.

W wigilię święta odbyło się ognisko, będące bezimiennym apelem poległych żołnierzy łączności. Następnego dnia rano gen. Głuchowski odebrał raport od oddziałów. Komendant Centrum Wyszczolenia Łączności płk. K. wygłosił przemówienie, mówiąc między innymi:

—Czy po akcji pod Monte Cassino, czy w walkach 1 Dywizji Pancerniej, działania kończyły się podziękowaniem Dowódcy za ofiarę i doskonałą pracę łączności. Największym jednak osiągnięciem było utrzymanie łączności z Krajem w ciągu sześćo-letniej walki Armii Krajowej z najeźdźcą.

Dowódca Jednostek Wojska w przemówieniu uwypuklił to wielkie uznanie, jakie zjednała sobie łączność za gotowość, sprawność i całkowite oddanie się służbie.

Po nabożeństwie, odprawionym przez księdza kapelana, odbyła się defilada, podczas której przygrywała orkiestra polskich kobziarzy z 2 baonu grenadierów.

Zawody sportowe i koncert zakończyły pamiętny dla łączności dzień. Jeden ze szkockich gości, przewodniczący Towarzystwa Szkocko-Polskiego w Auchtermuchty p. MacGillivray podkreślił, iż jest pewien, że Polacy, dzięki swej wierze i wytrwałości dojdą do Polski prawdziwie wolnej i niepodległej.

Siódmy kurs Szkoły Podchorążych Artylerii zakończył się w Szkocji, dnia 30 czerwca 1945 roku, przygotowując nowomianowanych podchorążych dla artylerii

głady na zagadnienia żywotne dla przyszłości Polski.

Deklaracja podkreśla wagę granic na wschodzie, przyjętych za obopólną zgodą w Traktacie Ryskim, domagając się rozszerzenia Państwa na zachodzie i północy zgodnie z zasadami historycznymi, gospodarczymi i strategicznymi. Ponadto Deklaracja mocno podkreśla zagadnienia szeroko pojętej reformy rolnej, życia gospodarczego, polityki społecznej, mniejszości narodowych, szkolnictwa.

Doniesienia, które nadeszły z Kraju, informują nas, że na społeczną stronę Deklaracji miał istotny wpływ gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski, ówczesny Dowódca Armii Krajowej, a obecnie Naczelnik Wódz Polskich Sił Zbrojnych.

O tych wszystkich poczynaniach Polski Podziemnej, walczącej przez pięć lat bezkompromisowo o wolność z okupantem — pisze pismo podziemne następująco: „My walczymy o demokrację, godność człowieka, o jego odrodzenie i wolność, i wszelkie dyktatury i totalizmy są nam obce”.

Po pięciu latach nieublaganej walki z przemocą najazdu — wolność jeszcze nie zawitała do naszego umęczonego Kraju. Rada Jedności Narodowej, działając wśród najtrudniejszych warunków po dziś dzień — może być przekonana, że żołnierz polski na obczyźnie nie zawiedzie jej nigdy, będąc zbrojnym ramieniem Rzeczypospolitej.

polowej, przeciwpancernej i przeciwlotniczej.

Absolwenci kursu składają się z żołnierzy z cenzusem 1 Dywizji Pancerniej, wychowanków Korpusu Kadetów przy II Korpusie Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie, z ochotników z Francji, oraz z liczeńszego zespołu żołnierzy, zmuszonych przymusem służyć w armii wroga. Niektórzy podchorążowie z tego zespołu przeszli Oświęcim czy Dachau.

Dzień promocji rozpoczął się tradycyjnym zwyczajem podchorążów polskich nabożeństwem, podczas którego piękne i głębokie kazanie wygłosił ks. prof. Obertyński. Defiladę podchorążych odbył gen. K. zastępca Dowódcy Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii. Następnie odbył się akt wręczenia świadectw — poczem miał miejsce wspólny obiad żołnierski.

Pan Prezydent nadesłał depeszę z życzeniami: „Nie mogąc, niestety, wziąć udziału w uroczystości zakończenia VII kursu, śle podchorążym z głębi serca płynące życzenie powodzenia w przyszłej służbie”.

Depeszę również nadesłał Szef Sztabu Naczelnego Wodza gen. Kopański, kończąc ją słowami: „Mimo wszelkich przeciwności, obecni Absolwenci Szkoły Podchorążych Artylerii będą jeszcze użytecznymi oficerami i obywatelami w prawdziwie wolnej i niepodległej Polsce”.

Komendant Centrum Wyszczolenia Artylerii płk. P. wystosował do Pana Prezydenta depeszę, w której dziękując za otrzymane życzenia, podkreślił: „Melduję Panu Prezydentowi, że wierni przysiędze, my żołnierze, nigdy nie zrezygnujemy z dalszego marszu do prawdziwie wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej”.

W promocji siódmego kursu Szkoły Podchorążych Artylerii wzięli udział przedstawiciele społeczeństwa szkockiego, provost miasta p. Aichison, oraz przewodniczący Towarzystwa Szkocko-Polskiego p. Brown.

Miasto H. w którym odbyła się uroczystość, posiada pięknie wyposażony Dom Żołnierza, ze świetlicą prowadzoną przez Polską YMCA, oraz sklep żołnierski w zarządzie Centrali Zaopatrywania Kantyn.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy „Polski Walczącej”, należy oddać tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. „Towarzysz Broni” winien docierać do wszystkich.

NA FUNDUSZ IM GEN. BORA-KOMOROWSKIEGO
Na Fundusz im. Gen. Bora-Komorowskiego £2 /dwa funty/ przesyła
Mjr. S.L.

KOMUNIKAT
Ministerstwo WR i OP donosi, że st. strz. 1 Dywizji Pancerniej pan P.W. przekazał Ministerstwu WR i OP kwotę £200 /dwieście funtów/ na stypendium zwrotne dla sieroty po szeregowcu lub podoficerze 1 Dywizji Pancerniej na studia elektrotechniczne.

Stypendium przeznaczone jest dla ułatwienia studiów na Politechnice lub równorzędnym wyższym zakładzie naukowym studentowi Wydziału Elektrotechnicznego, specjalizującemu się w dziale prądów mocnych i pragnącemu poświęcić się studiom nad zagadnieniami elektryfikacji Polski. Warunki korzystania ze stypendium określi regulamin. Kwoty uzyskane ze zwrotu stypendium będą przeznaczone na utworzenie nowego stypendium przeznaczonego na ten sam cel.

POSZUKIWANIA
URBANOWICZ JÓZEF z Wilna poszukuje rodzeństwa i znajomych. Wiadomości za pośrednictwem redakcji na adres: Zabłocki Józef, Ward T.5. Annex Bangour — Hospital Broxburn, East Lothian, Scotland.

Podchorąży 21 P.A.L. uczestnik kampanii wrześniowej w Polsce **WIERZBICKI LESŁAW** jest poszukiwany przez siostrę, która wdzięczna będzie za każdą wiadomość o nim przesłaną do "Polski Walczącej".

Jerzy Faczyński poszukuje p. M. **WARPACHOWSKIEGO** /broni panc./ Wiadomości do red. "Polski Walczącej".

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,094

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £3.90 /słownie: trzy funty, dziewięć szylingów/ uzyskaną ze składek żołnierzy ewangelików C.W. Panc. w czasie nabożeństwa dnia 26.6.45 z prośbą o przekazanie na pomoc Polakom w Niemczech.

Władysław Czerniarski,
Polish Training Centre,
Catterick Camp, Yorkshire.

W dniu imienin kochanej mojej Matki, przesyłam £1 /jeden funt/ z przeznaczeniem na pomoc jeńcom polskim uwolnionym spod jarzma niemieckiego.

Andrzej Mielnik,
RAF Station, Hatton

W załączeniu przesyłam czek na kwotę £22 /dwadzieścia dwa funty/, zebraną z okazji imienin ppłk.-lek. Dr. Anatola Niemyskiego przez podwładnych mu oficerów i siostry P.C.K. z przeznaczeniem na fundusz Polaków uwolnionych z Niemiec.

Of. Gosp. Ośr.
Segregacji Lekarskiej

Proszę przekazać kwotę £2.13.0 /dwa funty i trzynaście szylingów/ na Fundusz dla Polaków w Niemczech. Powyższa kwota została zebrana w czasie wieczoru p. A. Wasilewskiego w Domu Szkocko-Polskim w Edynburghu.

Helena Millerowa

W załączeniu przesyłam £1 /jeden funt/ dla Polaków w Niemczech.

Lena Chodowiecka

Zamiast kwiatów na grób ś.p. Józefa Kielatczyka koledzy z plutonu R.T. przesyłają sumę £6.5.0 /sześć funtów i pięć szylingów/ na pomoc Polakom w Niemczech.

Ppor. M.Z.

Przy niniejszym przesyłam £2 /słownie: dwa funty/ na pomoc Polakom w Niemczech.

Z.W.

Przesyłam Money Order na sumę £9.8.5 /słownie: dziewięć funtów, osiem szylingów i pięć pensów/ na Polaków uwolnionych z obozów niemieckich. Suma ta została zebrana przez podoficerów i szeregowych 16 Komp. Warsz. 16 Samodzielnej Brygady Pancerniej.

D-ca 16 Kompanii Warsztatowej
W.P. rtm.

Przesyłając w załączeniu "Money Order" na kwotę £8 sh.8 /słownie: funtów osiem, szylingów osiem/ zebraną wśród szeregowych i oficerów Szkoły Gazowej C.W. Piech. z prośbą o przekazanie powyższej sumy do P.C.K. z przeznaczeniem dla Polaków zwolnionych z niemieckich obozów koncentracyjnych i jenieckich.

Komendant Szkoły
/—/— B. ppłk.

Założa, Oficerowie i Kapitan ss. "Kmicic" przesyłają £80 /osiemdziesiąt funtów/ na pomoc dla Polaków w Niemczech.

Żołnierze-ucznioje Państwowej Szkoły Rolniczej przy West of Scotland Agricultural College w Glasgow — składają na pomoc dzieciom polskim w Niemczech kwotę £7.4.0 /słownie: siedem funtów i cztery szylingi/ oraz 65 franków /słownie: sześćdziesiąt pięć franków/.

L.M.

Sekretarz P.S.R.

W załączeniu przesyłam British Money Order na kwotę £10.2.0 zebraną przez szeregowych Sam. Dyonu Art. Plot. C. w dniu 30.6.45.

Suma ta przeznaczona jest na byłych jeńców polskich w obozach niemieckich.

D-ca Sam. Dyonu Art. Plot. C.
/—/ J.M. kpt. art.

We have received from Bridge of Allan Spa Social Committee a cheque amounting to £25 /twenty-five pounds/ in aid of Poles in Germany, which I am enclosing herewith. We have expressed our thanks to this Committee for their generous donation.

D.T., Lt.-Col.

Dear Sir,
Please find enclosed £3 /three pounds/ as a contribution to the Fund for Polish Children in Germany. This money was part of the proceeds of a dance organised by Mrs. A. McDonald in D.Z.U.

Yours faithfully,
W.Z.

Sh. 1 nieprzyjęty za 3 egz. "Polski Walczącej" Red. przeznacza na Polaków w Niemczech.

Łączną sumę zbiorów w dzisiejszym numerze £181.10.5 — Fr. 65 /słownie: sto osiemdziesiąt jeden funtów, dziesięć szylingów, pięć pensów i sześćdziesiąt pięć franków francuskich/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1094.1.2 /słownie: tysiąc dziewięćdziesiąt cztery funty, jeden szyling, dwa pensy/ i fr. 65 /słownie: sześćdziesiąt pięć franków francuskich/.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir,
I enclose a Postal Order for £1 /one pound/ for Polish Children Rescue Fund.

Marion Richmond /Miss/
24, Rennie Street, Falkirk.

RADA POLONII AMERYKAŃSKIEJ W EUROPIE

Od lat przeszło czterech, prowadzi swą rozległą działalność humanitarną na terenie Europy Rada Polonii Amerykańskiej, reprezentowana przez swą Delegaturę w Lizbonie, której kierownikiem jest obywatel amerykański p. Florian Piskorski.

Z uwagi na niejednokrotnie zachodzące pomyłki w adresowaniu korespondencji do tejże placówki, podaje się wszystkich zainteresowanym dokładne jej brzmienie: American Polish Relief Council of the U.S.A., Florian Piskorski, European Delegate, Avenida Pedro Alvares Cabral 54, 3° Esq. Lisbon — Portugal.

KOMUNIKAT

Związek Dziennikarzy R.P. w związku z podjętymi staraniami przyjsia z pomocą koleżankom i kolegom, uwolnionym z obozów niemieckich, prosi dziennikarzy i aplikantów, którzy dotychczas nie nawiązali kontaktu z Zarządem Związku — o natychmiastowe podanie dokładnych danych i adresów obecnego ich miejsca pobytu. Adres Związku Dziennikarzy R.P.: 38, Wilton Crescent, London, S.W.1.

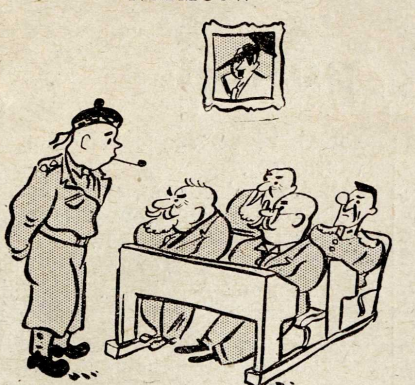
POSZUKIWANIE

Zygmunt Klimek poszukuje brata Gerharda z Solca Kuj. oraz kuzynów Franciszka KLIMKA z Wlewska i Zygmunta STUCZYŃSKIEGO z Torunia.

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT ...

W SZKOLE "DOBRYCH NIEMCÓW"



—Kto czego nie rozumie, niech się zapyta?
—Czy po skończonej szkole, otrzymamy świadectwo dojrzałości... do przygotowania nowej wojny?

NA KURSIE KIEROWCÓW
—Słuchajcie Karlik, musicie się jeszcze nauczyć rozpoznawania znaków na drodze!
—Panie kapitanie, ja wierzę w przeznaczenie! Jak na być kastrofą, że ten znak automobilowe nie mi nie pomogą!

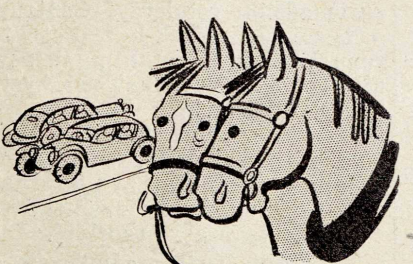
STARE NAWYKI

—A ja panu mówię, że w wyborach zwycięży B.B.W.R.!
—Co pan plecie! Takiej partii w W. Brytanii nie ma.
—A partia konserwatystów? To jest właśnie blok współpracy z rządem! ...

WYJAŚNIŁ

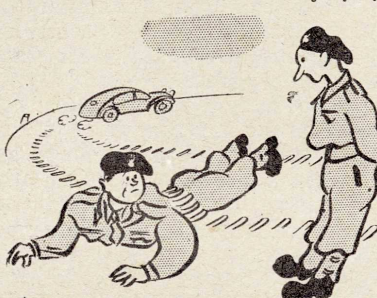
—To pan się żeni???
—Proszę pana, jak się wszystko wali na człowieka, to czy jeszcze jedno nieszczęście może człowieka uratować? ...

PO URUCHOMIENIU SAMOCHODÓW W W. BRYTANII



—Był spokój przez 5 lat i teraz nam znowu zanieczyszczają drogę ...

JAZDA NA "DARMOCHE" ...



—Felus, co ci się stało?
—Chciałem jechać na "auto-stop" i Szkot mnie nie zrozumiał! ...

PRAWDZIWA BAJECZKA

Pewien młody oficer zjawia się w kasynie w cywilnym ubraniu.
—Skąd masz to ubranie? — pada pytanie.
—Ona mi pożyczyla! ...
Na sali jest poruszenie. Uśmiecha się tylko angielski oficer łącznikowy. Pewien starszy oficer chce ratować sytuację i tłumaczy Anglikowi:
—To tylko żart!
—Nie szkodzi! To że on flirtuje z tą panią — to w tym nic złego. To jest wojna! Jest tylko w nieporządku, że ten młody człowiek niszczy ubranie mężowi ...

PO URUCHOMIENIU SAMOCHODÓW W W. BRYTANII

Po katastrofie samochodowej policjant przeprowadza dochodzenie:
—Pan pierwszy raz prowadził samochód?
—Nie, dzisiaj jest trzecia moja jazda!
—A kiedy pan ostatni raz prowadził wóz?
—W roku 1940! ...

KRÓTKA ODPOWIEDZ

—Niech mi pan powie — zapytuje Polak policjanta angielskiego — dlaczego jest aż tyle wypadków samochodowych?
—Ludzie są pijani ze szczęścia, że wojna się skończyła, więc zabijają się w wypadkach samochodowych ...

ZROZUMIELI SIĘ

Szkot zapytuje Polaka:
—Kiedy wracasz?
—Dzisiaj — o godzinie 19,35!
—To już wyjeżdżasz?
—Tak o północy kończy mi się przepustka i rano muszę być w kompanii ... w Perth! ...

CELUJĄCY UCZEŃ

—No jak panu poszedł egzamin z angielskiego?
—Wspaniale! Zdałem z trzecią lokatą!
—To cudownie! A dużo was było na kursie?
—Trzech!

ROZMOWA W LONDYNIE

—No i co pan na to powiesz?
—Pan chcesz mnie brać na słówka?
—Tak, na 1000 słów po angielsku!
—To się panu nie uda. Ja już uczę się innych słówek, że panu wejda w pięć! ...

"NAŁOGOWIEC" ...



—Wy z jakiej wsi w Polsce?
—Z Głodówki panie starszy!
—To widać! Już trzeci raz przychodziecie po repetę! ...

MA ZGRYZ ...

—Nad czym pan tak duma?
—Nad wyborami w Anglii ... Zastanawiam się, nad techniczną stroną wyborów!
—Pan już nie ma większych zmar-twień? Angliści już sobie poradzą!
—To nie takie proste! Wyборы mają się odbyć w niedzielę, a pan przecież wie, że w niedzielę jest wszystko zamknięte w Anglii, nawet lokale wyborcze ...

WSRÓD PAŃ ...

—Niech mi pani wierzy, że zdjąłabym ostatnią koszulę, ażeby pomóc naszym Polakom w Niemczech.
—Ale à propos! Czy pan nie wie, gdzie można nabyć trochę kuponów? ...

Tekst i rysunki: TONY

RELICHA JERZEGO, st. strz. poszukuje ELŻBIETA RELICH. Zgłoszenia pod adresem: 11, Portobello Road, Edinburgh.

THE POLISH SHOP
19, Bridlesmith Gate, NOTTINGHAM
polecą:
wszelkie nowości wydawnicze po polsku i angielsku, książki naukowe, słowniki. Oznaki wojskowe dla Armii, Marynarki i Lotnictwa. Artykuły piśmienne i podręczniki oraz duży wybór upominków.
Zamówienia listowne wykonujemy odwrotnie. Dla kanton rabat.

Mjr. kaw. **FEDEROWSKI KAZIMIERZ**, Oflag VIIA. Murnau, Upper Bavaria, Germany, poszukuje żony **HANNY**, wywiezionej do obozu Ravensbrück, a następnie do obozu Hinterwick Elisabethenport Hamburg, gdzie przebywała do marca br.

POSZUKIWANIE
Helena i Józef **LEWICCY** zam. w Oberlangen, Szpital Obozu kobiet A.K. poszukują: ppłk. Stanisława Lewickiego z Krakowa, Marię z córką Danutą Marx oraz Michała i Jadwigę Sokół-Szachin, wszyscy z Warszawy a w dn. 14.VIII.1944 przywiezieni do obozu w Oranienburgu.

Dobry Kieszonkowy Słownik
angielsko — polski i polsko — angielski z wymową
"D U X"
cena 9/6
Do nabycia w księgarniach i kioskach lub bezpośrednio w
SKŁADNICY KSIĘGARSKIEJ
8, HOPE STREET, EDINBURGH.

NAJWIĘKSZY WYNALEZAK OD CZASU ALFABETU
Żadaj wykresu!
PEWNOŚĆ UŻYCIA WŁAŚCIWEGO SŁOWA
To wspaniałe "zestawienie zwrotów i słów" jest bezcennej wartości dla wszystkich posługujących się angielskim językiem. Proste i łatwe w użyciu. Ułatwia znalezienie właściwego wyrazu. Słowa i zwroty masz gotowe pod ręką. Gilbert Frankau pisze: "najlepszy pomocnik, jakiego kiedykolwiek odkryłem — nie opuści już nigdy mego biurka." Nadesłaj znaczek pocztowy 1d za egzemplarz.
PSYCHOLOGY PUBLISHING Co., Ltd. (Dept. PW/HV4)
Psychology House, Marple, Cheshire.

SPIS RZECZY:
Zbigniew Jordan: Przyszłość Europy. — Z manifestu Rządu R.P. — Zastępca: Przegląd tygodniowy. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Z tygodnia na tydzień. — Aleksander Janowski: Nasza żołnierska wola. — Józef Żmigrodzki: Nurt myślowy w szeregu. — Jerzy: Ostatni dzień Czerniakowa /I/. — Witold Leitgeber: Polacy w Niemczech /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Porucznik Herbert: Dywizjon "Obrońców Warszawy" /Najpiękniejsze loty bojowe. Od Dukli po Adriatyk/. — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — "Towarzysz Broni". — Zbiórki. — Tony: Werinajsek. — Fotografie.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6 d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE?
ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT
DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE
MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25